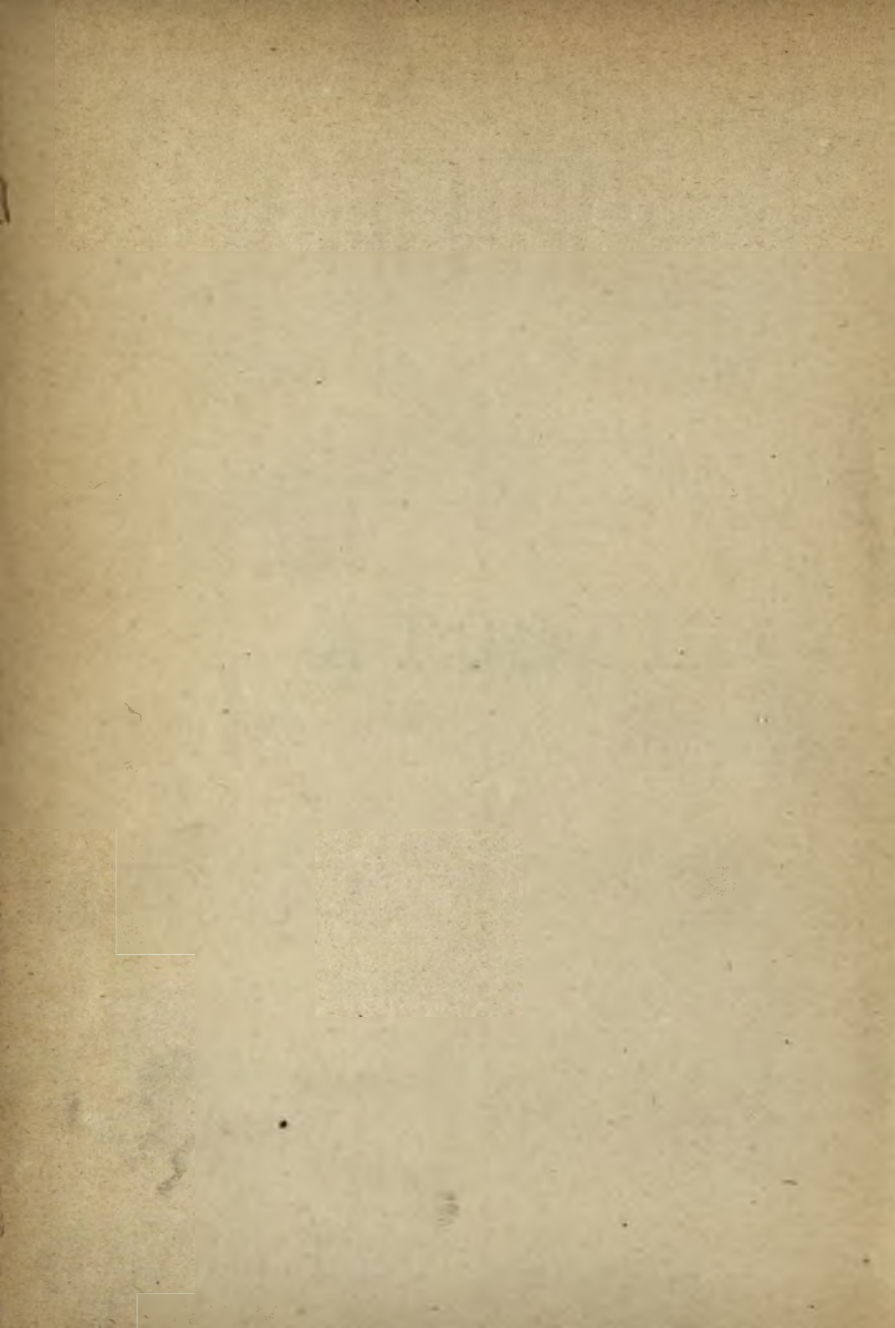


НОЛОТА.



Ex archiwalny IBL

HOŁOTA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat N. 72

00-380 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1878.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Апрелья 1878 г.

Pomiędzy Żabiem a Wyczółką, na samej granicy, gdzie klinem wchodził kawał piaskowatego gruntu, krzywymi sosnami zarosły—stała oddawna karczemka, którą zwano Zieloną Budą.

Dla czego Zieloną, trudno odgadnąć, gdyż ani na sosnach, ani dokoła, świeżej zieloności nie było nigdy wiele, nawet wiosną. Trawa puszczała biednie a drzewa rosły ospale i niewesoło. Być może iż przed laty zielono pomalowane okiennice, na których tle wyblakłym rozeznąć jeszcze było można, niegdyś wprawna ręką namalowane kieliszki, szklanki i obwarzanki, dały karczemce ten przymiotnik, którego dziś już nie usprawiedliwiało.

Karczemka ta kością w gardle zawsze stała dzieciom Żabiego i Wyczółki, bo należała do Trzasek, małej wioszczyny, która ciągnęła wielkie korzyści z arendy, rozpajając sąsiednich włościan wódką taną a brzydką. W tem ustroniu długo bardzo siedzieli żydzi; później, gdy tuż blisko przeprowadzono szosę, że i na podróźnych dystyngowanych rachować było można, poskoczyła arenda w górę i niezmiernie zabiegliwy Wicuś, przezwany Kuternogą, wziął ją w dzierzawę.

Ten Kuternoga, choć osiadły zdawna w okolicy, gdzie wprzódy po dworach różne funkcyje sprawiał, niewiadomo

było wszakże ani z kąd ani od kogo pochodził. Najrozmaitsze o tem i najsprzeczniesze biegały wieści. Temu tylko zaprzeczyć nikt nie mógł, że Wicus, grzecznie zwany przez potrzebujących jego rady i pomocy: „Pan Wycienty,“ przez innych Wicus, Wioek, a nawet Wisus (gdy się kto nań pogniewał), był jednym z najcięższych ludzi na okolicę. Nigdy pono do szkół nie chodził, czytać i pisać ledwie umiał, ale bystrości, przebiegłości i sprytu miał tyle żeby ich na dwu stało. Przewisko Kuternoga samo powiada że na jedną nogę kulał, i to szpetnie, bo gdy szedł, całe ciało na jedną stronę się przechylało tak, że się padać zdawał. Mimo to biegał, kręcił się i rzadko na miejscu usiedziało. Żwawy był na podziw, a temperamentu niespokojnego. Nie wielkiego wzrostu, dosyć gruby i kościsty, z rękami długimi, z włosiem na głowie jakby wypłowiałym, który nosił długo puszczoney, Wicus twarz miał bladą, dosyć brzydką, nos trochę zadarty, policzki wystające, gębę szeroką i zarost tak nikczemny, że się prawie golić nie potrzebował. Oczy mu siedziały pod mocno zasklepieniem czołem, jak dwa koty na przypiecku i patrzyły bystro, a latały żywo. Człek był niepozorny, gdy go chandra napadła, milczący, że z niego słowa dobyć było trudno, gdy potrzeba przysła, gadatliwy okrutnie i krzykliwy.

Niepozornemu takiemu kuternodze dobrze się ożenić zdawało się trudnem, wziął jednak ze dworu od nieboszeczki podkomorzynej Manczyńskiej dziewczynę na podziw piękną, cichą, łagodną, która od skąpej pani dostała wyprawę niezłą, a potem po jakimś stryjaszku, choć się woale nie spodziewała, jakieś parę tysięcy złotych. Nieszczęśliwe to było, zawojowane stworzenie, pewno lepszego losu warte. Kuternoga nie dawał jej kroku stąpić bez zezwolenia swego, ale Handzia się na to nie skarżyła.

Na tej, napozór lichej, niepoczesnej karczemce, Wicus pieniądze robił i kabzę nabijał; wszyscy o tem wiedzieli, chociaż się z t m nie popisywał.

Nie mogło też być inaczej, bo Wicus był przebiegłym, nielitościwym, śmiałym, nocy nie dosypiał, we dnie nie spoczął, nie dojadł, a na grosz, nie żałując potu, pracował.

Nigdy go nikt próżnującym nie widział, robił coś zawsze. Zdawało się czasem, jakoby to nie z potrzeby i rachuby pochodziło, ale z nałogu i jakiejś gorączki wewnętrznej, spocząć mu nie dającej. Pierwszy na nogach z rana, całą noc spał jednym okiem i na najłżejszy szelest wstawać był gotów, odrazu przytomny, jakby nie usnął wcale. Żonie z nim było jeszcze jako tako, bo choć jej robotę przypominał ciągle i nastroczał, ale złego słowa nie powiedział nigdy. Sługi za to z pyszna się miały: mało który stróż lub dziewczyna wytrwali długo u niego, bo próżnować nie dawał, a gderał okrutnie.

A było co robić, bo karczma się nawet w najgorszy czas i w roztopy nie zamykała nigdy. Stróż nieustannie musiał być przy stajni, sługa w izbie, to około dziecka, którego jejmość, siedząc za stołem, nalewając, krając, odbierając zapłatę, pilnować sama nie mogła; — te na posyłki. Prócz tego miała do dozierania dwie krowy i coś nierogacizny; chowały się też kury, kaczki i gęsi, na które pilne mieć było potrzeba oko, aby z blizkiej kałuży nie wybrały się spacerem na grunta Żabiego lub Wyzółek, na których je nielitościwie zabierano, a nawet i zabijano. Miała Zielona Buda korzyść ze swego położenia, to prawda, ale i niedogodności wiele, niepokój i wojnę nieustającą. Sąsiedzi mścili się za rozpajanie włościan grabieżą, na którą się zasadzali,

jak na zwierzyńię. Najniewinniejsze stworzenie, byle stopą dotknęło po bliższych gruntach, padało ofiarą wojny.

W tem położeniu na stopie wojennej, tylko Wicus Kuternoga mógł wytrwać, inny nie wytrzymałby.

Opisaliśmy go, jak niepocześnie wyglądał, dodać potrzeba, że się odziewał nie do twarzy. Kapotę nosił długą po pięty, dla pekrycia krzywej nogi, pod nią bieliznę tylko kładł zwykle, kamizelę, u której zawsze połowy guzików brakło, buty ogromne, a na głowie nosił czapczkę, bodaj niegdyś przez żonę haftowaną, może półaksamitną, ale tak zatłuszczoną i zafolowaną, że desenie na niej ledwie się od tła rozróżnić dawały.

Czapczkę tę Wicus zrzucał chyba w wielkich wypadkach, dla osób w hierarchii społecznej wysoko położonych, z których nielitościwie szydził za oczy, ale stanąwszy przed niemi, tem niższe bił im pokłony. Kto pochlebstwo i weneracyę lubił, temu tak umiał dogodzić, że lepiej nie było potrzeba.

Na mil dziesięć, a może więcej w koło, Kuternoga znał ludzi, stosunki, sytuacyę i wartość każdego człowieka, tak, że mógł doskonale obliczyć, czego się kto dorobi lub kiedy upadnie. Odgadywał cudownie tych, co szli do ruiny i co mieli przyszłość, wyprorokowywał małżeństwa, przeczuwał zwady—wiedział wszystko na wylot.

Bali się go też wszyscy, a wielu rady jego zasięgało. Mówiąc o nim, zwykle każdy w czoło się uderzał, pokazując, że tam u niego dużo siedzi!

Zielona Buda, gdy Pan Bóg ją szosą obdarzył, powinna była przybrać przyzwoitszą postać i poczytniejszą fizyognomię, została jednak taką prawie, jak od wieków była, nieforemnym budynkiem, długim, niskim, z dachem wysokim, ciężkim i staroświeckim zajazdem pod słupami.

Dziedzic grosza nie chciał poświęcić na żadną restaurację, Wicus więc o własnych siłach dosyć porządne dwa pokoiki gościnne wysztyftował. Posprawił do nich okna większe, mebelki bejcowane, i starał się o czyste ich utrzymanie.

Gwoli przejezdnym zawiesił w nich nawet firaneczki, postawił doniczki z kwiatami, aby do zajechania kusily, uśmiechając się z za szyb. O ile Zielona Buda była zresztą niepozorna, tak słynęła z tego, że w niej goście wszelką znaleźć mogli wygodę.

Wicus doskonale rozumiał i przeczuwał wymagania ludzi, do wygódek i pieśczoć nawykłych.

Była to intuicya artysty w swoim rodzaju, gdyż świat, w którym się obracał, nauczyć go tego nie mógł. Darł za wszystko, ale zaopatrywał się w napoje, herbatę, tytoń, przekąski, cukier w najlepszym gatunku. Każdy od niego odjeżdżał, stękając na ceny, nikt nie nie mógł zarzucić ani jadła, ani napojowi i usługom.

W potrzebie Kuternoga podawał, służył sam, co mu nastroczało z ręczność do rozmowy z podróżnemi, której łaknął wielce, będąc wszystkiego ciekawym nad miarę. Jak są ludzie, co na drodze i po podłogach sznurki zbierają i pogięte szpilki zatykają sobie za suknię, tak on najbliższą napozór wiadomostkę chował w jakąś pamięci komórce, pewny, że ona się kiedyś na coś przydać może. Nieraz się to sprawdziło.

Podśłuchać, dowiedzieć się rad był wszystkiego, jednym słowem, człowiek był ciekawy. Ludzie z nim częściej obcuający, doświadczywszy jak z nich ręcznie dobywał czego chciał, tchórzli przed nim, nie śmiejąc prawie ust otworzyć, bo ich, jak to mówią, za język łapał.

O ile Wicus zwawy był i kręcący się, o tyle żona je-

go, piękna Handzia, powolna, mileżąca, napozór leniwa. Wiedziała o tem, że była piękną i być nią nie przestała, choć od urodzenia córeczki trochę pobladła. Lubiła się ubrać czysto a do twarzy, przejrzyć się w zwierciadelku, oczkami mrugać, minki pogardliwe wielkiej pani stroić. Wyszedłszy za prostego arendarza, czuła się może tem upośledzoną, będąc w dodatku szlachoiianeczką i wychowanicą ś. p. podkomorzyny Manczyńskiej.

Z pończochą w ręku, w mitenkach, siadywała za stołem przy fiaszkach, jakby zamysłona, stęskniona, smutna, niechętnie i skąpo się odzywając do ludzi, zwłaszcza, jak ona zwała: „ordynaryjnych“.

Obyczaju jej tego mąż nawet nie mógł odmienić i weselszą ją i gadatliwszą uczynić.

Bywało tak, że ludzi którym nalewała, co się koło niej przewijali, nie widziała, nie pamiętała, gdy mąż w pół roku mógł powiedzieć, kto kiedy u niego był, co robił i w jakiej godzinie. Arenda też i całe gospodarstwo na nim stało, a Wicus mawiał nieraz, że uchowaj Boże na niego czegokolwiek, żonisko by sobie rady nie dało.

Wieczór był wczesnej jesieni, zniwa się jeszcze nie ukończyły; po dniu dosyć skwarnym, choć na zachodzie trochę się chmur plątało, zdawało się zbierać na noc cichą i pogodną. Na szosie, jako w dzień niedzielny, wozy, wózki, piesi, jezdni, gęsto się przesuwali, ale przed Zieloną Budą mało kto przystanął.

Miała ona wprawdzie o pół mili austeryą współzawodniczkę, do Wyczółek należącą, zwaną „Spoczynkiem“, ale ta, dosyć okazała na oko, wewnątrz była brudna, zapuszczona i źle utrzymana. Z drugiej strony tęgie półtorej mili się jechało do wsi i oberży w Żabiem.

Kuternoga umiał zręcznie przywabić do siebie, grze-

czny był i uprzejmy. Pokłonił się, pogadał, zaśmia się chętnie i pobaraszkował, na wszystko miał czas. Nieraz i pochwalił się z ozemś dobrem, do konsumoyi kusząc. Podróżni się na to brali jak na wędkę.

— Żeby jasnie pan wiedział, jakie mi się udało dostać leciuchne, czyste, zdrowe winko węgierskie, chłodzące, na skwar przedziwne, czy z wodą czy bez wody... Ks. Przeor nie mógł się odchwalić, a to przecie znawca! Ho! ho! Dostałem je z Winiar. Powiadam panu, ambrozya!

Zwykle się kończyło na tem, że jasny pan zawołał— „A pokazno“ — I butelczyna pękała.

Innych kusił likworami, innych ponczykiem, który żona robiła *arte*, pospolity lud piwem, nigdy nie chybiając w tem co komu przystało.

Czasem kuty kuternoga nie życzył się komuś czegoś napić, bo to było—drogie. Zawsze się jednak okazało, że ten, komu odradzał, nietylko mógł się na kosztowny przysmak zdobyć, ale go użył sowicie.

Tego wieczora goście przesuwający się liczniej, jakoś pod nosem Wickowi przejeżdżali, ledwie się zatrzymując. Stancyjki były nie zajęte, nikt się na noc nie trafiał. Złapanie kogoś na nocleg było *in votis*. Dla tego kuternoga stał sam przed karczmą na straży, aby okazyi nie opuścić.

Słońce zapadało za ciemne, porozrywane chmury, jaśkrawy blask jego przedzierał się tu i owdzie gorejącami jeszcze promieniami, ozłacając łąki i pola, gdy na szosie za-tętniało. Kuternoga poznał po turkocie powóz pański a wkrótce potem ujrzał cztery ładne konie, trochę zmęczone i opylone, koczyk podróżny, a na koźle obok woźnicy w liberyi, dostrzegł i lokaja palącego cygaro. Wyglądało to elegancko i po pańsku.

Konio zbliżając się ku karczmie troche biegu zwolni-

ły, koozyk stanął, ale, na nieszczęście, nikt z niego nie wysiadł. Wychylił się tylko mężczyzna z powozu, jakby chciał o coś zapytać, a służący dał znak kuternodze aby się zbliżył.

Wicus pospieszył o ile noga dozwalała, dostał się do koczyka, zdjął zatłuszczoną czapeczkę i trzymając ją ponad głową i w postawie wyczekującej, ofiarował swoje usługi.

— Co jasnie pan rozkaże?

— Do Żabiego daleko? wyszedł głos z koczka.

Kuternoga, z bystrością sobie właściwą miał czas już rozpoznać z kim było do czynienia. W powoziku siedział bardzo starannie po podróznemu ubrany mężczyzna, jeszcze młody, chociaż już goniący ostatkami młodości, z twarzą pańską, rysów bardzo pięknych, z oczyma szafirowemi, czołem ciemnem, noskiem rzymskim, ustami składającemi się jakoś milucho, — minką niemal zalotną.

Wszystko co go okrywało i otaczało było piękne, wytworne, ze smakiem dobrane. Ręka którą na fartuchu położył, jak kobieca starannie świeżą opięta była rękawiczką.

Wicus, który widział wszystko, domyślał się pod tem okryciem wystających, dużych, pewnie kosztownych pierścieni. Niedopalone cygaro, którego wonny dymek doleciał do nosa Kuternogi, pachniało dziwnie kosztownie. Rachwał, że co najmniej złotówkę mogło być warte.

— Do Żabiego daleko ztąd? powtórzył podróżny.

— Do Żabiego, do państwa Manczyńskich, — o! siarczyste półtorej mili! rzekł Wicus.

Mężczyzna spojrział na zegarek i głową pokiwał.

— Żeby nawet wyciągniętym jechać kłusem i szosą, dodał Wicus — którą miejscami nowym szabrem nasypiano, zawsze dobre półtorej godziny — albo i siedem kwadran-
sy (sic).

Zegarek wskazywał około ósmej. Kuternoga obrachowywał, że pół do dziesiątej przybyć, gościowi mało znajomemu nie mogło być przyjemnem.

Jegomość siedzący w powozie nie należał do bliższych sąsiadów, wszystko wiedzący Wicus wpadał już na myśl kto to mógł być, a że nie był poufałym w Żabim, miał pewność. Składało się więc tak że mógł zajechać.

— Widzisz, odezwał się podróżny do woźnicy, mówiłem że mnie z popasem zmarudziliście. Godzina ósma! po dziesiątej przyjechać i dla mnie i dla gospodarzy niewygodnie.

— A cóż ja temu winien! odparł z wawo woźnica. Pan Karol świadek, że konie ani weź iść nie chciały, choć i sól dla nich brałem.

Kuternoga milczał dyplomatycznie.

— Tu nawet przenocować nie ma gdzie wygodnie— bąknął pan.

— Z przeproszeniem jaśnie pana—odezwał się Wicus, już to, nie chwając się, Zielona Buda, choć się sobie Budą nazywa, ale na całym trakcie, na mil dziesięć pan lepszej i wygodniejszej stancyi osobnej nie znajdzie jak w niej. Samowar jest czysty, świeżo pobielany i wszystko co trzeba.

Zakłopotany podróżny, pomyślał trochę, obejrzał się na niebo, popatrzał na gospodarza i odezwał się do siedzącego na kozle pana Karola:

— Pójdźżeno stancyę zobaczyć.

Nie mówiąc już nic, bo ten brak zaufania nieco go dotknął, Wicus powlókł się za wyskakującym dosyć niechętnie z kozła panem Karolem.

Temu widocznie na drodze się w karczmie nocować nie chciało, znosić tłumoki, trudzić się, gdy we dworze mógł mieć wygodę i spoczynek.

Mrucząc poszedł z Kuternogą. Widać potem było jak w stancyi gościnnej gospodarz okna otwierał, trwały oględziny dosyć długo, a gdy p. Karol sam już do pana powrócił, oświadczył mu kwaśno, że jużci z biedy przemocować można. Stancya niczego.

Zapytał pan jeszcze czy nie śmierdzi, nos miał widać czuły: odpowiedział na to Karol, że on znowu takiego nesa nie ma, żeby tam zaraz wszystko zwąchał. Chwilkę wahanie i namysły trwały jeszcze, kazano zajeżdzać.

Gość wprost poszedł do obiecaney—stancyi niczego.

Znalazł ją nadspodziewanie dobrą, czystą i przyzwoitą. W istocie, jakeśmy mówili, Kuternoga starał się po-koik utrzymywać jak najschludniej. Łóżko było bejcowane, kanapka pociągnięta ciemnym perkalem, stół niezbyt poplamiony i czerwoną z szafirowem serwetą przyodziany.

W izbie stało geranium i przyschły gwoździk, na ścianie wisiało zwierciadelko w ciemnych ramach z paskiem złożonym. Czegóż można było żądać więcej od karczemki, na partykularzu??

Kuternoga sam uczuł się w obowiązku czynić honory, stanął u drzwi. Piękny pan przeszedłszy się parę razy po izdebce, z uwagą mu się przypatrywał. Wzrok ten badawczy nie uszedł oka Wicusia.

— Acan tu dawno? zapytał.

— Ja? w okolicy tej jestem od młodych lat, jaśnie panie, a na arendzie też już kilka. Tutejszy jestem i... (to było trochę za śmiało) Żabie jeszcze za nieboszczki pani Podkomorzynej znałem bardzo doskonale; nawetem się z panną z jej dworu ożenił.

— A! a! rzekł sucho gość.

Nastąpiło milczenie, w ciągu którego, niby odwracając rozmowę, Kuternoga się zapytał, czy samowar potrzeba

nastawić, dodając, że ma herbatę na trzy ruble z pod Kopernika, cukier rafinat i—bułki.

Zamyślony podróżny, który właśnie mozolnie rękawiczki ściągał, wysłuchał tego zalecania, głową dał znak, że samowara sobie życzy, i począł wypakowywać kieszenie. Wyszedł gospodarz.

W sam czas trafił do wielkiej izby, bo tu, zmęczony podróżą na kozle, p. Karol pod pozorem orzeźwienia się likworem, nadto się do Handzi przybliżał. Piękna jejmość mieniała z nim wejrzenia tęskne, co—chociaż Wicus najzupełniej był o małżonkę swą spokojnym—zawsze na nim nieprzyjemne czyniło wrażenie.

Kazał się dziewczynie „a żywo“ zabrać do nastawienia samowara.

Nie potrzebował rozpytywać lokaja, bo młodzieńca likwor przedziwny i piękne oczy Handzi w tak gadatliwy dobry humor wprawiły, tak uczyniły grzecznym, iż się zaraz sam wypowiedział, jako z hrabią Ludwikiem Zamińskim, jechali w odwiedziny do państwa Manczyńskich.

Hrabiego, wprzódym nim się jego nazwiska dowiedział, domyślał się już Kuternoga, i uśmiechnął się sam do siebie, bo mu pochlebiało, że go przeczucie nie omyliło. Tego imienia było mu już dosyć, aby z niego pewne wnioski wyciągnąć.

Z wielką uprzejmością poprosił pana Karola aby sobie usiadł i spoczął, zapewniając, iż stróż i dziewczyna we wszelkich robotach go wyręczą. Chociaż wskazane siedzenie, trochę opodał od pięknych oczów Handzi, niezupełnie życzeniom p. Karola odpowiadało, zabrał miejsce i dobył cygaro. Kuternoga tymczasem się już krzątał po swojemu, obsługiwał, pytał, witał, poił, żegnał i spełniał swe obowiązki rozliczne ze zwykłą gorliwością gorączkową.

Gdy przyszło do podawania samowara i przygotowań herbacianych, pod pozorem, że dziewczyna służąca była trochę roztargana i dla ciepłej pory trzewików oszczędzała,— że p. Karol był zmęczony—Kuternoga (nie bez rachuby) sam się podjął ustawienia na stoliku co było potrzeba. Na dowód, iż znał co należało, serwetę białą dobył i poniósł dla pokrycia nią czerwono-szafirowej.

Znalazł już gościa na kanapie wyciągniętego z nogami i dziwnie jakos zadumanego. Wicus raz poczawszy tu porządkować, dziwnie powolnie pełnił służbę, co nie było w jego naturze, tak, że mógłby kto posądzić, iż życzy sobie chyba wdać się w rozmowę i być zaczepionym. Stało się po jego myśli i pan hrabia Zamiński w istocie—z lekka, kołując, począł się informować o Żabie i Manczyńskich.

— Acan mi mówiłeś, że znałeś starą Podkomorzynę—odezwał się—miała to być ciekawa i osobliwszych obyczajów kobieta.

— A jakże, proszę jaśnie pana, takem ją znał—rzekł Wicus—jak, nieprzymierzając, kieszeń własną. We dworze nawet jakiś czas służyłem, a służba to była, uchowaj Chryste Panie.

Gość słuchał ciekawie.

— O Podkomorzynie nieboszeczce, Panie świeć nad jej duszą—dodał Wicus, żeby człowiek chciał opowiadać, to i całego dnia zamało.

— Może acan czasu nie masz? zapytał hrabia.

— El czas by się znalazł—mówił gospodarz, a no jaśnie panu by się słuchać znudziło ordynaryjnego gadania, choć to—historye! awantury!

— Ja tam coś o tem, piąte przez dziesiąte, słyszałem—mruknął od niechocenia hrabia, jednakże przyznam się acanu ciekaw jestem.

Kuternoga nie drożył się bardzo, chociaż, niby coś mając jeszcze ważnego do rozporządzenia, wybiegł na chwilę, po sieni się przeszedł namyślając i wrócił udając pośpiech. Zawsze ten manewr dodawał szacunku mającym nastąpić zwierzeniom.

— Podkomorzyna, słyszę, skąpa była? bardzo? pytał gość.

— Skąpa! śmiejąc się począł Kuternoga. A! jaśnie panie! skąpa powiedzieć mało! Takiej kobiety jak ona, drugiej na świecie nie ma chyba! Ho! ho! Ja już nie wiem jak to sknerstwo nazwać, a do tego głowę miała, pamięć, rozum, i taki spryt że jej żaden żyd nie podołał! U niej się kruszynka nie zmarnowała! W ostatnich latach tylko jajami żyła przez oszczędność, mówiąc, że jej to doktorowie przykazali. Wprost się zamorzyła głodem. Sama bywało ochodziła kury macać i podbierać, sama wydawała ze spiżarni. Strach!

Wicus, choć opowiadał rzecz niewesołą, śmiać się zaczął.

— Toć, mając na takich dobrach dożywocie tak długo, nie dając nikomu nic—odezwał się hrabia—z majątków w takiej glebie, ogromnych, powinna była miliony zostawić!

Spojrzał na Wicusia, który, minę jakąś tajemniczą zrobiwszy, ramiona skulił. Zdawało się, jakby mówić o tem nie chciał.

— Powiadają, że kapitały po śmierci wcale się nie znalazły, wsiąkły gdzieś jak w wodę, bez śladu?? He?

— Hm! chrząknął Wicus—to jest w istocie, proszę jaśnie pana, zagadka. Że miliony miała, toć pewna, a co się stało! Jeden Bóg wie.

— A cóż się z niemi stać mogło? pytał hrabia.

— Ludzie różnie mówią—westchnął Wicek—musiała je za życia ciepłą ręką komuś oddać.

— Przecież bliższego nikogo nad rodzonego wnuka nie miała.

— A pewnie! — rzekł karczmarz i ramionami zżymnął. Jaśnie pan słyisał juści; co o tem ludzie prawili i prawią?

— Coś nie coś, ale to są wszystkie brednie jakieś bez sensu! zawołał hrabia lekceważąco.

— Pewno że brednie — rzekł Wicus. Ja tam o tem tyle wiem, na co oczyma własnymi patrzałem. Całemu światu wiadomo było, że Podkomorzyna nieboszczka strasznie tem była zgryziona i dotknięta, iż syn jej, pan Aureli, majątek puszczony mu przez ojca, het cały przeszastał. Powtarzała ciągle: Onufry nielepszy, wszystko zmarnują! wszystko pójdzie z dymem! A no, cóż? nie mogła wnukowi ani kurateli naznaczyć, ani majątków pod dożywociem będących wyrwać. Więc, choć kapitały jakie uzbierała, schowała gdzieś — jak w wodę wpadły. Gadają, że je umieściła potajemnie na prawnuków! Gdzie? jak i u kogo? wiele? śladu nie zostało. Rachunki, słyiszę, już umierając na kominku palić kazała, listy, kwity, aby nikt nie doszedł co było i gdzie się podziało.

Hrabia słyiszał z wielką uwagą. Wicus więc ciągnął dalej coraz raźniej.

— Że miała sumy ogromne, nie było tajemnicą, sama się z tem nie kryła. Nie mogło być inaczej, gdy lat trzydzięści ani sobie, ani nikomu grosza nie dała użyć. Jeździła do kościoła w takim kapeluszu i sukni, jakby z grobu wstała; od gęby sobie odejmowała, a gdy zmarła do grobu przyszło ubierać, żadnej całej koszuli nie znaleziono. Krocie co roku płynęły z majątków!

— Ludzi przecie mieć musiała przy sobie? — zapytał hrabia.

Wicus się roześmiał.

— Gdzie zaś! proszę jaśnie pana, nie zwierzała się ona nikomu, oprócz jedyne go faworyta swojego, który u niej od dziecka prawie służył i w którym miała takie zaufanie, że był on więcej niż prawą ręką. Trzymał pieniądze, zawiadywał kasą, jeździł za interesami — słowem, podkomorzyna w nim miała więcej niż sługę.

Potrząsał głową.

— On też przecie wiedzieć musi, co się z kapitałami stało?—zawołał hrabia.

Kuternoga ruszył ramionami i głową potrząsał, śmiejąc się.

— A juśoi powinienby wiedzieć on, a kiedy nie to chyba nikt...

— Pytano go?

— O! o! mało nie na męki brano, duszono starego, ale się do niczego nie przyznał—rzekł arendarz.

— Mógłże sobie przywłaszczyć?—badał gość.

— A! uchowaj Panie Boże! — podchwycił Kuternoga — to nie taki człowiek! Poczciwość chodząca, a najlepszym dowodem że sobie nie wziął, jest to, że sam z głodu umiera prawie.

Tu wpadłszy raz na przedmiot, który jego samego żywo obchodził, arendarz mówił dalej:

— Człowieka tego trzeba znać, bo to coś osobliwszego. Na punkcie uczciwości ani go nawet posądzać można, ale dziwak. U pani podkomorzynie był on wszystkim, rządcą, plenipotentem, ekonomem, kasjerem, pisarzem i lokajem. Przywiązany był tak do niej, że gdyby mu była i drwa rąbać kazała i gnój wozić, nie wzdragałby się.

A myśli pan, że nieboszczka mu choć los zapewniła? Gdzie tam! Mówią, że chciała to uczynić, bo mu już wprzódy, ażeby go nie wypędzono, zapisała formalnie chatę i o-

gród z kawałkiem łąki na dożywocie, pod samym dworskim spacerowym sadem. Miała do tego przyjść i pensyjka, oóż? gdy nagle zasłabła, a wiele było na głowie do roboty, bo się czuła niebezpieczną, nie stało czasu na rozporządzenie dla nieboraka, który życie sterawszy na służbie, został na chudym dworku bez kawałka chleba. Miliony gdzieś wsiąkły, niewiadomo gdzie. — Westchnął.

— Ludzie, zwyczajnie ludzie — począł znowu mówić po chwili—skomponowali sobie, że te miliony u starego sługi gdzieś leżą. Ale jakże to może być, żeby on z głodu marł, siedząc na nich? Gdzieżby je skrył?!

— Ja też coś o tem słyszałem, że go posadzają— rzekł hrabia—ale niepodobieństwem jest, żeby podkomorzy- na tak znaczny majątek prestemu i biednemu człowiekowi do wiernych rąk oddała!

— Pewnie, że to nie może być, bo onby i rady sobie z tem nie dał—rzekł Wicus, — ale na punkcie uczciwości (powtórzył)—jemu i miliony zaufać było można.

— Cóż Manczyńscy?—ciszej szepnął hrabia, coraz więk- sze okazując zajęcie się tą sprawą.—Oniby przecie powin- ni dochodzić spadku... Lubią, słyszę, żyć, a majątek choć znaczny, mocno pono nadszastany! Mają trochę długów...

— Pan mówi: trochę długów — podchwycił karczmarz, machając ręką.—Po uszy w nich siedział po uszy. Jak nie- boszczyk pan Aureli, tak i wnuk pan Onufry lubi żyć ga- lancko, człek honorowy, pańsko u nich wszystko! Co za dziw, żona z takiego domu! Edukacya taka obojga, że tylko po francuzku a po francuzku. To, proszę pana, i w kuchni i w piwnicy po francuzku... a to dużo kosztuje... ho! ho!

Manczyńskim obojgu te schowane miliony babunine, na które rachowali, spać nie dawały i nie dają. Zaraz po

śmieroi podkomorzynej starego sługę napadli, prosili, mężczyli, nękali i obiecywali złote góry; nie powiedział nic, tylko ciągle jedno: Jam ich nie wziął, u mnie ich nie ma.

Ludzie gadają, że gdzieś dla wnuków to złożone i opisane, żeby stracić nie mogli.

Co biedny Zarzecki odpokutował za te pieniądze, Bogu jednemu wiadomo. Trzymali go już w kozie zamkniętego przez cały rok, przychorował, zlekli się aby nie umarł, puścili. Dawali mu tysiącami, żeby wydał co wie, ale i to nie pomogło. Juści gdyby on co wiedział, mając rodzinę w biedzie, zmiękłby w końcu.

— Cóż to za jeden?—zapytał hrabia.

— Bóg go wie, mówił Wicus. — Ubogi szlachetka, na oko taki człowiek jak i drudzy. Trzeba wiedzieć, że i wódkę lubi, a zakrapia się dobrze; ale choć sobie podpije, nie dobędzie z niego nikt, czego on nie zechce. Nędzę cierpi, gorzałkę prostą pije, modli się, a jak bywało za podkomorzynej, tak i teraz ciągle coś struże i dłubie, bo mu się ubrdało, że jakiś młyn osobliwy wymyśli. Żonę ma chorą, która się z łóżka nie rusza, córkę i syna, biedę w domu, sam chodzi odarty—jakże tu myśleć, że u niego miliony leżą?

Hrabia się roześmiał i popędliwie ręką rzucił; począł zamyślony pić herbatę powoli. Karczmarz się nie oddalał, znać było po nim, że ma jeszcze ochotę dalszych objaśnień udzielać.

— Więc powiadasz acan — mruknął hrabia, popijając — że Manczyńscy są w długach?

— A jakby oni nie mieli być w długach? tak między nami powiedziawszy, bo ja nikogo obmawiać nie lubię, tylko co prawda to prawda—mówił Wicus. Przytem od jasnie pana to nie wyjdzie. Na takie życie jak ich, i trzy razy tyła fortuna nie starczyłaby. Pani nie może zapomnieć,

że jest z książęcego domu, pan po ojcu wziął żyłkę taką, że zastaw się, a postaw się i żeby mnie było!

Szkoda ich, bo państwo dobre, a natury nie przeina-czyó.

W ten sposób zapieczętowawszy opowiadanie kondolenoyą, żywo się zabrał do wyjścia gospodarz, czując, że już się może i do zbytku wygadał; hrabia zadrzemany, z głową spuszczoną siedział nad niedopitą herbatą. Cały się zda-wał zatopiony w jakichś głębokich kombinacjach i rozmy-słach.

Gdy się ciemniej zrobiło i świece przyszło podawać, Wicuş się sam z niemi pofatygował, zbierając zarazem ze stołu herbatę.

Kilka razy wśród tych zajęć rzucił mu różne zapyta-nia pan hrabia, ale że i pan Karol przesuwiał się po pokoju, rozmowa przy świadku nie szła.

Wicuş stał się nadzwyczaj powściągliwym. Już się miał usunąć całkiem, życząc dobrej nocy, gdy hrabia waha-jąc się, jakby zawstydzony, przybliżył się ku niemu, wal-cząc z pewną obawą, którą po nim widać było. Zniżył głos.

— Nie mógłbyś mnie acan objaśnić—rzekł — w Ża-biem, tak, zdaje mi się że w Żabiem, ma podobno przeby-wać... jedna... jedna osoba.

Wicuş zmierzył go bystro oczyma.

— Ja tam wszystkich znam—szepnął.

— Niejaka panna Aniela, muzyczka, grająca bardzo pięknie na fortepianie—dokończył ciszej jeszcze hrabia.

Karczmarz głowę podrzucił do góry i rękę, jakby mó-wił: wiem! wiem ja!

— Myślę, że we dworze u Manczyńskich? he?—rzekł hrabia,

— W Żabim pewnie, ale nie we dworze u Mancozyńskich—z powagą doskonale oświadconego odezwał się Wicus.—Wiem, o kim pan mówi. Toć to przecie jest córka tego starego sługi podkomorzynej, Zarzeckiego, o którym powiadałem. We dworze się ona nigdy ani na oczy nie pokazuje, bo między ojcem jej a Mancozyńskimi, od tego czasu jak go męczyli i do kozy sadzali, wszystko się zerwało.

Tak! tak! panna Aniela! W domu ją nazywają Lucią. Słyszeliśmy i u nas, że ona po miastach grywała i ludzie się dziwowali, tak pono sprytnie gra. A co jej z tego przyszło? Grosza tem zarobić nie mogła, musiała do domu powrócić, aby matce chorej służyć i bieliznę prać, bo tam często i baby za co nająć nie mają, nie ma komu i onuczki wycisnąć

Mówiąc, patrzył w oczy hrabiemu pilno Wicus, bo gdy się niestary mężczyzna o młodą pannę dopytuje, zawsze w tem jest coś podejrzanego. Hrabia palił cygaro, dym puszczając mocno i udając nieporuszonego, obojętnego, był jednak widocznie pomięszany.

Rozmowa, jak nożem uciął, zerwała się na tem. Hrabia pytaniem o Lucię zdradziwszy się, szukać się zdawał w myśli środka, aby zatrzeć wrażenie, jakie uczynił i wykłamać się zręcznie, co mu nie przychodziło łatwo.

— Proszony byłem *przez jedną panią*, abym się o tę osobę dowiedział—dodał zimno.

— Tak, tak, proszę jaśnie pana, nie może to być inna, tylko Lucia Zarzecka—powiedział karczmarsz. — Co się to z tej pięknej panny zrobiło! Strach! Chodzi teraz odziana prawie jak prosta dziewczka i zamęcza się około starej matki. Nieboszeczka podkomorzyna oddawała ją na nankę do klasztoru, gdzie i grać i śpiewać nauczyły ją mniszki. Myśleli że suknię oblecze, ale nie zechciała. Miała z tej muzyki kawałek chleba zarobić, ale—Boże odpuść—wiado-

mo, co to muzykanty. Wszyscy oni bez butów chodzą. Jeszcze tego u nas nie widziano, żeby kto wyśpiewał lub wygrał co innego, z pozwoleniem, jak gołe pięty.

Począł się śmiać Wicuś, porwał serwetę, powiedział „dobranoc“ i wyniósł się wreszcie.

Dwór w Żabiem, niegdyś rezydencya nieboszczyka pana Aurelego Manczyńskiego, syna podkomorzynej, który cały niemal majątek, jaki miał w rękę, stracił, cudem z oddłużoną wsią dostała się synowi Onufremu, najbardziej dla tego, że niewielkiej wioski z pałacem i ogrodami, do utrzymania ciężkimi, nikt kupować sobie nie zyczył. Państwo Onufrostwo dostali tę jedyną ojcowiznę w czasach, gdy biorąc spadek z dożywocia po podkomorzynie, trochę ją mogli oczyścić z pilniejszych długów. Potrzebowali koniecznie pałacu, bo w lada dworku mieszkać nie mogli, żyjąc na pańską skalę, choć w długach istotnie byli wielkich i uciążliwych.

Za życia babki rachowano na jej ogromne kapitały, które miały wszystko, co ojciec i syn zmarnowali, do świetnego stanu przywrócić; nadzieje jednak zawiedzione zostały w sposób niepojęty. Po skąpej podkomorzynie nie zostało nic, oprócz majątności, na których miała dożywocie.

Pani Idalia z książąt (maleńkich bardzo) żona pana Onufrego Manczyńskiego, piękna i sławna z piękności, pieszczotami świata zepsuta, kobieta wielkiego świata (ruin), ani przypuszczała, ażeby się do skromniejszego bytu warunków można zastosować. Dla niej zawsze musiało być to, czego żądała, do czego była nawykłą; inaczej, groziła, że zaraz umrze.

Wielbiona od całego świata, uroczą pani Idalia, którą wielu, imię jej przerobiwszy, zwało panią Idealią, była istotnie jednym z tych ideałów niewieściego wdzięku, w których pod najświetniejszą powłoką mieści się zagadka do rozwiązania. Postać jej, oczy, usta, twarz, ruchy, dźwięk mowy czarowały; zdala była to wcielona piękność, przed którą każdy chciałby był paść na kolana, ale to bóstwo nieczułe było, nielitościwe, zdawało się, tęskniąc za Olimpem, wcale nie rozumieć ziemi, nie mieć jej uczuć, nie znać języka. Było to dziecko rozpieszczone na tyrana, słodziuchno zamęczające tych, co się do niego zbliżali i do ofiar nieprzywiązujące żadnej wagi. Bardzo naturalnem znajdowała, ażeby się ludzie dla niej męczyli, nawet umierali. Oprócz siebie, nie kochała nikogo, a wymagała, żeby ją czcili wszyscy.

Typ to powszedni, powiecie może. Tak jest, dość powszedni w książkach, bo go co krok spotykamy w rzeczywistości, a nie mogąc ozerpać z wyobraźni, musimy na świat zwracać oczy i brać z niego, co on daje. Typ to powszedni, jednakże w życiu i literaturze kwiatek ten ma wiele odcieni i drobnych odmian, jak róże.

Pani Idalia, należąc do rozrodzonej rodziny samolubek, różniła się od swych ślicznych siostrzycolek wielu rysami, które się później odsłonią.

Pan Onufry był przez nią, jak się domyślać łatwo, zupełnie zawojowany. Odrobinę samoistności, jaką kiedyś miał może, stracił, oddając cześć bogini, i szedł za nią wiernie, poślubiając wszystkie myśli jej, żądania, uczucia. Był to tylko cień człowieka, bardzo przyzwoitego, umiającego się podobać, nadzwyczaj miłego w salonie, próżnego we środku. Z kim innym byłby się on stał może cał odmiennym, przy zonie tej odbijał jej barwę i stosował się do kamertonu bóstwa. Zdawna mówiła mu pani, że go uczyniła tak szczę-

śliwym, iż życie za nią dając, jeszczeby się nie wypłacił. Własnej woli i myśli ani śmiał mieć pan Onufry, ale narzucone sobie nosił, choćby paść pod ich ciężarem przyszło.

Pięknej rezydencyi w Żabiem opisywać szczegółowo nie widzimy potrzeby, byłoby to rzeczą zbyteczną.

Wszystkie niemal wspaniałe nasze dwory i parki są do siebie podobne, jest w nich mnóstwo rzeczy, oprócz oryginalności pomysłów. Zdaje się, jakby zadaniem tych, co swe siedziby przystrajali, było dowieść, iż osobistych upodobań, idei i siły wynalazczej nie mieli. Wszystko to jest naśladowane, zapożyczone, wzięte, skradzione gdzieś, przesadzone z jakiejś szkółki obojej. Z naszych własnych żywiołów i motywów, z którychby się tyle pięknych rzeczy stworzyć dało, tak samośmy korzystać nie umieli, jak z leśnych kwiatów, których ogrodowa budowla zużytkować nie chciała.

Pałac w Żabiem miał też same u wjazdu kolumny, które widzimy wszędzie, piękne gazony, klomby, porozrzucone drzewa efektowne, kwiatowe grządki, pstre altany, domki i kamienie, jakie się spotykają po całym świecie. Było to nawet utrzymywane wcale ładnie, co u nas niezawsze się trafia, ale pani Idalia nie pytała nigdy, czy siano skoszono, czy zboże sprzątnięto; — ogród i to, co ją bezpośrednio otaczało, co jej służyło, musiało być w porządku, kwitnąć a bujać, choćby to największych wymagało ofiar.

Tak samo nie rozumiała nigdy tego, ażeby jej mogło zbywać na tem, czego się naparła fantazyja, albo raczej, co gdzieindziej zobaczyła, *marqué au sceau de la distinction* i natychmiast musiała mieć u siebie. Wartość pieniędzy była dla niej zupełnie niezrozumiałą.

Poza obszernym parkiem, w przytykającym niegdys do niego, a teraz wcielonym doń ogródku, stał niegdys sta-

ry, walący się dwór, w którym przemieszkiwała do końca życia Podkomorzyna. Teraz śladu go już nie było, bo grąten, szkaradnie wyglądający, bez miłosierdzia wyrwócił kazano. W miejscu jego bujniej teraz na nowym trawniku rosły chwasty, niedające się wykorzenió.

Nieopodał od tego miejsca znajdował się (za parkanem) domek z ogródkiem i kawałek sianozęci, dożywociem dany, prawie i dokumentnie, staremu słudze Podkomorzynnej, panu Jakóbowi Zarzeckiemu, o którym słyszeliśmy opowiadanie pana Wincentego.

Ta «obrzydła chata», jak ją nazywano we dworze, na którą pani Idalia patrzeć nie mogła, jakby jej na przekorę mieściła się tuż pod parkiem, siedziała jej pod bokiem, śmierdziała i zawadzała. Wyrugowaó zaś z niej gracyalisty nie było sposobu, ani prośbą, ani groźbą, prawo miał za sobą.

W skutku podejrzeń, że stary sługa Podkomorzynnej coś o jej zniknionych kapitałach wiedzieć musiał, chcąc go potrosze mieć na oku, niebardzo się pozbywano oźlowieka, z innych względów niecierpianego i nieznośnego dla państwa Manczyńskich.

Chodziły o ukryciu, przekazaniu tych sum bez śladu gdzieś utopionych, wieści najdziwniejsze, a choó nie przypuszczano, aby je mógl stary Jakóó zagarnąć, domyślano się, iż wiedzieć o nich niezawodnie musiał. Nie z niego jednak wydobyó nie mogło, żadnej wskazóвки; mileżał uparcie; groźono i dręczono go napróžno, odpowiadał ciągle jedno.

— Nieboszczka zrobiła co chciała, a przedemną, sługą, spowiadaó się nie miała potrzeby.

Owa «obrzydła chata», biedne schronienie zubożałego gracyalisty, znajdowała się tuż pod parkiem. Był to przed

laty tak zwany folwark, zapewne bardzo dawno zbudowany, z dachem pogarbionym, wysokim, podzielony w środku sienią na przestrzał, i składający się po jednej i drugiej stronie z dwóch izb z alkierzami. Mała, przypierająca doń przybudówka mieściła składy, a oprócz niej była szopka dla koni i bydła, w której dziś jedna się tylko krowa chuda mieściła.

Wiadomo było powszechnie, że Podkomorzyna umierając, miała zamiar najwierniejszemu słudze naznaczyć dożywotnią pensję, ale stało się, że umierając, tak zajęta była rozporządzeniem tem co miała (w sposób dziwnie tajemniczy), iż czasu jej nie starczyło na to rozporządzenie.

Zarzecki, mało płatny, dużo stosunkowo poświęcający na wychowanie dzieci, nie zebrał sobie żadnego zapasu, ufał że pani o nim nie zapomni i z głodu mu umrzeć nie da. Stało się inaczej i został bez grosza we dworku z ogródkiem.

Okolo jego mieszkania widać już było ubóstwo wielkie: płoty się ledwie trzymały, dach był mocno uszkodzony i poprawiany licho, wszystko dokoła w zaniedbaniu i nieładzie.

Wszedłszy do dworku, w prawo, była naprzód izba większa, przeznaczona niegdyś do przyjmowania obcych ludzi, lecz ci teraz nigdy tu nie bywali. Ubóstwo ma przyjął mała. Stała ona prawie pusta, bo nikt się jej uporządkowaniem i ozdobieniem nie zajmował. Stara, odarta kanapka, stół bez okrycia, kilka krzesełek, z których ani jednego całego nie było, komoda niezgrabna, na niej krucyfiks i dwa zeschłe bukiety kwiatów, piec zabrukany, na ścianach Chrystus i kilka religijnych obrazków, czyniły pokój gościnny nad wyraz smutnym, jakby opuszczonym. Podłoga też pobutwiała w kilku miejscach, przejście prze-

zeń niewygodnem czyniła. Jedno okno na zawsze zamknięte okiennicą, drugie przez szyby zapyłone niewiele światła wpuszczało.

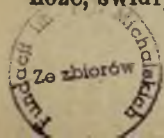
W drugim, przytykającym doń, widać było łóżecko zasłane, stoliczek przy niem z potłuczonym zwierciadelkiem, na kołkach u ścian kilka sukienek, na półce trochę książek i duży stos nut w nieładzie. Zwitki ich i oprawne zeszyty walały się po kątach. Ta, co tu mieszkała, nie miała widocznie czasu pomyśleć o sobie i swoim schronieniu; czuć było, że tu jak w gościnie przebywała.

Drzwi zamknięte i zastawione, dzieliły izdebkę od przyległego alkierza, do którego się wchodziło od sieni.

Alkierz ten był mieszkaniem pana Jakóba Zarzeckiego. Tu nieład panował jeszcze większy. Izba o jednym okienku, wązka a długa, z piecykiem czarnym, z lichem łóżeckiem w kącie, wygniecionem i zmiętym, zawierała nagromadzone, natłoczone, całe ubogie mienie człowieka. Był to jakby skład najobrzydliwszych rupieci. Odzież porozwieszana na kołkach, starą, wynoszoną, łachmanami nazwać było można. Kapoty z brudnymi kieszeniami płóciennymi, surduty bez guzików, kurtki zbielałe od noszenia, wisały jedne na drugich.

Na co tylko padło oko, zasmolone było, opylone, zszarżane, stare, zużyte. Po kątach walały się buty, stały strzelby, leżały siodła, chomonta, uprzęże, worki, rzeczy wreszcie, których przeznaczenia dawnego trudno już było odgadnąć.

Najwięcej jednak uderzało tu nagromadzenie mnóstwa kawałków drzewa, kółek, trybów, niby wzorów do machin, których i na półce i na szkle i pod szkłem, i na piecu i za piecem było mnóstwo. Małe narzędzia ślusarskie, noże, świdry, dłutka, licho w kawałki drzewa poprawiane,



zużyte, kupką leżały na oknie. Obok nich na stoliku ogromna książka do nabożeństwa, okulary i różaniec, spoczywały pospołu. I tu stał mały krucyfiks czarny z Chrystusem.

Czego nie widać było wprawdzie, ale co mocno czuć się dawało, razem z wonią stęchlizny, skór, wilgoci i brzydkiego tytoniu—to wódka.

Tego dnia, gdy hrabia w Zielonej Budzie nocował, pod wieczór siedział w swojej izdebce na łóżku Zarzecki, sparty na rękę i zadumany—powierzchność za nim nie mówiła. Był to silny, dosyć słusznego wzrostu mężczyzna, twarzy mocno zaozerwienionej, z wąsem podstrzyżonym, z głową trochę wyłysiałą.

Spojrząwszy nań, każdy w nim czuł człowieka silnej woli, a może mało rozwiniętej inteligencji.

Oblicze więcej nie mówiło nic—patrzył dziko, surowo, jak każdy, co zmuszonym był całe życie walczyć, stać na straży, zamachy odierać, spokoju nie mieć, ani się go spodziewać.

W tej wojnie, z całą duszą w niej się zatopiwszy, Zarzecki żył jak salamandra w ogniu, zbrojąc się powłoką nieprzebitą. Można było sądzić, że stracił poczucie wszystkiego co się na świecie działo, oprócz obowiązku nieustannej obrony od napaści. Sam nawet z sobą pozostawszy, czuł, jakby się do walki jakiejś gotował lub zaledwie ją przeżył, czekając powrotu. Książka na litanii roztwarta, leżała przed nim, ale mrok mu, wczesny w ciemnej izdebce, przerwał modlitwę—oczyrna rzucał to na krucyfiks, to na swe kółka i tryby, na stole porozrzucane.

Siedział tak jakiś czas nieporuszony, gdy drzwi uchylono i krokiem nieśmiałym weszła dziewczyna, ubogo ubrana, której twarz w największej z odzieżą zaniedbaną była sprzeczności.

Zdawała się jakby przebraną, do innego ubioru będąc stworzoną i nawykłą. Piękną była, a rysy niemal arystokratycznej tej piękności, wybladłe, wynędzniałe, nabierały uroku, z wyrazu trwogi, smutku i zgnębienia, który się na nich wycisnął. Czoło i oczy zdradzały istotę w której myśl mieszkała jakby uciśnięta w więzieniu, wyrwać się z niej nie mogąc, zmuszona ukrywać.

Nędzna sukienka nie mogła zeszpeciść kształtów młodzieńczych, których cierpienie nie nadwerżyło jeszcze; mała chusteczka zbladła, okrywała ramiona ślicznych form, a włos bujny, choć związany bez starania i zgnieciony na głowie, wrywał się z niewoli puklami, które spadały w nieładzie. Widać było że nie miała ani czasu, ani ochoty myśleć o sobie, przygnębiona wielką nad siły niedolą.

Nieszczęście to niosła z pewną dumą i niemal zobojętnieniem, jakie obycie się z niem nadaje.

Wchodząc, w progę jeszcze wahała się nieco, czy się nie cofnąć—lecz ojciec zobaczywszy ją, głowę podniósł i twarz jego nasrożona, gniewna niemal, przybrała wyraz słodczy i rozrzewnienia, który ją wnet zmienił zupełnie.

Była to Lucia, córka Zarzeckiego, o której słyszeliśmy ze staraniem podkomorzyniej wychowywała się w klasztorze, i słynęła jako wirtuozka. Twarz jej wcale ojcowskich rysów nie przypominała. Wpółśród tej nędzy co ją już obwinęła całą, wydawała się jak postać z innego świata, z innej atmosfery, wciągnięta siłą fatalności w krąg do którego nie była ani przeznaczoną, ani doń nawykłą.

Ubóstwo, praca inaczej się znaczą na człowieku, do innych go ruchów i form naginają. W Luci widać było resztki swobody jakiejś i dni lepszych—prysłonięte siłą

z rezygnacją mężną. Piękna twarzyczka bladą była, oczy jakby od łez i bezsenności zamglone, ból wypiętnował ślady swej stopy na ustach i czole.

Ojciec spojrzawszy na nią, jakby przez poszanowanie wstał i powiodłszy po czole ręką drżąca, westchnął. Z jakąś pokorą, niemal jak winowajca spytał jej:

— A cóż tam, Luciu moja — a matka?

— Zasnęła, — odpowiedziała córka głosem poważnym i smutnym. — Chciałam...

Zbliżyła się na krok jeszcze, biorąc w ręce końce chustki i bezmyślnie ją zwijając.

— Chciałam z ojcem pomówić.

Z niejaką trwogą obejrzał się Zarzecki, stołek jej przysunął a sam siadł na dawnem swem miejscu, na krańdzi łózka.

Lucia nie chciała usiąść, sparła się zlekka na poręczu i stała, spoglądając z boleścią po ojcowskiej izbie; oczy jej odwracały się ze strachem od tego nędzy widoku. Lecz nie miała ich na czem zatrzymać, gdzie odwrócić, abysię nie spotkać z odrażającym brudem i nieładem.

Domyślając się może przykrego przedmiotu rozmowy, której córka żądała, nie śpieszył z jej rozpoczęciem Jakób, — oórcie też zagałó ją niełatwo przychodziło.

Obejrzała się raz jeszcze po izdeboe — i oczy zwróciła wprost na ojca.

— Kochany ojcze, — odezwała się, — ale łzy i stłumiony płacz mowę jej zatamowały. Co prędzej chustkę przyłożyła do twarzy i zbierając się na mężtwo, zwyciężywszy słabość niewieścią — poczęła śpiesząc żywiej:

— Kochany ojcze — głowę tracę, nie wiem już co poczynać. Jesć prawie nie mamy co, kupić nie ma za co, sprzedać, .. już nie wiem czy znajdę co jeszcze.

Rozpostarła piękne ręce, które nie były widocznie do ciężkiej pracy stworzone, a ona się już na nich krwawo wypiętnowała.

Stary zasłonił twarz dłońmi—milożał czas jakiś.

— Nie rozpaczaj,—rzekł—nie rozpaczaj, miłosierdzie Pańskie sługi swojego nie opuści, ulituje się Chrystus Pan, jeśli nie nademną niegodnym grzesznikiem, to nad wami. Modliłem się, modlę—cóż ja więcej mogę?

Lucia stała pogrążona w swej boleści, nieruchoma.

— Al nie wątpię i ja o miłosierdziu Bożem,—odezwiała się wzdychając—ależ Bóg przykazał myśleć o sobie, ratować się. Matka leży chora, ja na chwilę odstąpić jej nie mogę i zapracować też nie potrafię, będąc tutaj. Zygmus ledwie sobie daje radę. Zkądże dalej i co weźmiemy—dla matki!

Głos jej słabł, stary w krucyfiks oczy miał wlepione.

— Wątpimy o miłosierdziu Bożem,—rzekł—i dla tego ono nie przychodzi. Los nasz ciężki, ale Bóg sprawiedliwy, a myśmy niewinni że cierpimy, więc się ulituje. Pracowałem poczciwie, sumienie mam nieobarczone... gdyby moja dobrodziejka kilka godzin dłużej była na świecie pożyła!..

Lucia ciągle łzy ocierała.

— Coś przecie radzić i robić potrzeba! — zawołała.

— Cóż radzić! co tu poradzić?—westchnął stary; zność musimy w pokorze o Bóg zesłał, za grzechy nasze. Opatrzność nas nie opuści.

— Ojczy kochany, — zoicha dodała córka — wszyscy mówią że nieboszcza oddała ci jakąś opiekę nad temi

skarbami; czyż za to nie by ci się nie należało, czyż nie mógłbyś...

Stary porwał się z łóżka nagle i przerwał gwałtownie.

— Powtarzasz plotki nie do rzeczy, ja o żadnych skarbach nie wiem, nie mam ich, a gdybym o nich wiedział, gdybym je miał, złamanego szeląga, mrąc z głodu, z nich bym nie wziął dla siebie. Co cudze, święte. Życie ludzkie mała rzecz, a sumienie wielka. Bez niego człowiek, bydlę... Kto ci tem głowę nabija! To są brednie. Któż takiej jak ja hołocie daje do strzeżenia skarby, jakby już innych uczciwych ludzi nie było na świecie! Dajcie mi pokój z temi głupimi skarbami!!

Stary Zarzecki począł rzucając się ochodzić po izdebce, córka się już odzywać nie śmiała, stała z oczami spuszczone.

— Mój drogi ojcze,—rzekła — ja to powtarzam co tu ludzie plotą.

Jakób ruszył ramionami.

— Dajże choć ty mi z tem pokój,—odezwał się.

— Jest inna rada jeszcze,—mówiła córka.

— Jakaż! proszę? — przerwał pan Jakób z widoczną niecierpliwością.

— Moglibyśmy się pozbyć tej kuli u nogi, tego nędznego dożywocia, które państwo Mancozyńscy podobno okupić pragną,—mówiła Lucia. Dla nas z niego nic... jest to ledwie dach nad głową. To ooby nam za nie dano, starczyłoby może na przeniesienie się do miasta. Tam ja, choć biednie, moją pracę bym was utrzymać mogła.

Tu ledwie tyle znaczę co poprostu służą, tam bym mogła więcej...

O! — dodała — nie godzi się nam narzekać, ale jakże

nas opuściła ta pani nasza, dla której pracowaliście całe życie!

Plaoc przerwał jej mowę, a stary odezwał się gwałtownie.

— Ani słowa na tę świętą kobietę. Wy jej nie znaliście—jam jeden znał ją i jej serce. Niewinna ona że Bóg życia jej poskapiwszy, nie dopuścił zrobić co chciała! W tem była wola Jego przenajświętsza, przed którą się ukorzyć potrzeba...

Bóg wie co robił Wtrącił nas w nędzę łaską swą, a by wypróbować, krzyż z ręki Jego całujmy!

Chatę porzucił—mówił dalej—do miasta się wynosić, gdzie i zagonu i grzędy i dachu nawet nie będzie—aby żyć z twojej tej biednej muzyki. Z muzyki!.

Aleś ty sama sobie nią ledwie mogła starczyć, a chcesz na żywił! Albo to ja nie znam miasta! Daj ty mi pokój, z temi romansami...

Niech tylko mój młyn stanie, a jutro ja nikogo nie potrzebuję. Ja go mam w głowie cały, niedługo na to czekać.

O! ja wiem,—począł nagle zmieniając głos.—Manczynski by się nas ztąd zbyć chciał, bo mu się zdaje że przezemnie na niego oczy niebószczyki patrzą—wie że ja na jego pańskie fumy mam oko, i co o nich myślę, to mówię. Czuje we mnie starego sługę podkomorzynie—jestem mu solą w oku.

— Tak,—szepnęła Lucia, a on nas prześladowuje i nęka; pocóż się mamy upierać tu siedzieć, gdzie i nam źle i z nami! Wynieśmy się ztąd! Uciekajmy! Ja dla siebie o liłość nie proszę, zniosłabym i zniosę wszystko... miejcież liłość nad biedną matką. Co tylko z sobą przywiozłam z mia-

sta, poszło wszystko, matka ma się gorzej co dzień—ją ratować trzeba!

Zachmurzył się Zarzecki, zamyślił, poczynął coś mówić, i zamilkł, wreszcie odezwał się burząc:

— No, to jedź! jedź do miasta! Ja to rozumiem! Tobie tu z nami źle. Rzuć matkę i mnie, jedź!.

Zaledwie tych okrutnych słów dokończywszy, spojrzął na córkę Zarzecki i zobaczył ją zachodzącą się od płaczu, który, próżno chusteczką twarz oisnąc, utulić usiłowała, gdy się ku niej rzucił z załamanemi rękami.

— Luciu! dziecko moje najdroższe, — wykrzyknął — daruj mi—plotę sam nie wiem co, głowę tracę. Przepraszam ciebie. Daruj! Tak! Rozum mnie odszedł! ciężar na mojej biednej głowie za wielki. Tyś najlepszem z dziećmi, a ja najnieszczęśliwszym z ludzi! Zlitujcie się nademną!

Tchnął ciężko.

— Troszkę tylko swobodniejszej myśli, a wnet mój młyn dokończę i co zechcę na nim zarobię. Mam go tu, — stuknął się w czoło—ale ręce słabe drżą i modeluszu wystrugać nie mogę. Trochę cierpliwości... święty Józef patron robotników, pomoże, dokończę prędko! Tymczasem sprzedać, sprzedać wszystko do ostatniego łachmana, powróci się to zawiązką! Powiadam ci!

Córka, nie już nie odpowiadając, wyjść chciała, gdy Zarzecki, który rozgadawszy się umilknąć nie mógł wstrzymał ją.

— Bądź spokojna, — rzekł szybko, — jutro pójde do miasteczka; jest jeszcze zegarek, który mi nieboszczka darowała, nie chciałem się z nim rozstawać, dam go w zastaw; mam po ojcu sygnet—niech i ten idzie. Wszystko się to wykupi gdy młynek stanie. Bóg łaskaw.

Lucia odzyskawszy trochę męztwa, pocałowała go w rękę i udając uśmiech, szeptać poczęła:

— Niech mnie ojciec posłucha! Na co to wszystko! jedźmy do Lublina, zbądźmy się tego nędznego dożywocia! Tam i model młyna łatwiej będzie dokończyć. Dla matki znajdziemy radę lekarza, wygody większe, ja lekcyce będę dawała, wyjdziemy przynajmniej z tej nędzy jaką tu cierpiemy!.. Ojczulku drogił oddajmy im za co bądź to dożywocie—to zguła nasz!

Jakób z głową skurczoną znowu ohodzić począł po izbie.

— Co nas tu trzyma?—wtrąciła Lucia.

— Co mnie tu trzyma? serce! jam tu wyrósł i zestarzał,—rzekł Jakób—ja nie wiem czy gdzieindziej bym wyżł! Ja tu jeszcze widzę choć cień mojej nieboszeczki. Dla mnie ztąd iść, gdyby do pałaców, to wygnanie! Mnie się rozedrze serce!

Głód! nędza!—dodał gwałtownie—ale nikt z głodu nie umiera! mnie aby kawał suchego chleba, więcej nie potrzebuje...

— Ale matka! matka! — odezwała się Lucia ręce łamiąc.

Wyraz ten zamknął usta staremu; padł na łóżko i oczy zakrył.

Lucia, już widząc że wszystkie prośby daremne były, wychodzić miała, gdy Jakób wstał, do piersi ją przyocinał i całując w głowę zamruczał:

— Stanie się co Bóg choiał. Stanie się—dla was biedaków trzeba zrobić wszystko!.. Już zrobię, zrobię co można!.. Niech tak będzie. Nie płacz — Miłosierdzie Boże wielkie!

Przerywanym głosem mówił niewyraźnie, Lucia wymknęła się płacząc.

Zaledwie się drzwi za nią zamknęły, Zarzecki upewniwszy się że nie powróci, zbliżył się do łóżka, schylił, dobył z pod niego flaszkę zieloną, zatknął korkiem szmatką obwiniętym i napił się z niej śpiesznie, kryjąc natychmiast na dawne miejsce.

Ostry zapach prostej kotłówki rozszedł się po izdebce. Twarz pana Jakóba zarumieniła się nieco, życie w niego wstąpiło, poruszył się raźniej i począł przewracać na stole rozrzucone tryby i kółka, które drżącymi rękami łączył z sobą i układał, cały zajęty niemi.

— Ja im pokażę,— szeptał — tym wszystkim panom mądrym mechanikom, co może prosty człek przy pomocy Bożej, gdy trochę oleju ma! Że będzie młyn to będzie, i to taki jakiego świat dotąd nie widział..

Stał jeszcze u okna pochyłony nad kółkami, gdy krzyk dał się słyszeć niedaleko za płotem ogródka, łajanie głośne, wrzawa jakaś. Musiała to być rzecz powszednia, bo z początku niewiele zważał na nią Zarzecki, w końcu jednak zmarszczyło się czoło, ręce trząść zaczęły ruszył się jakby chciał wybiedz, potem wstrzymał i półgłosem odmówił powolutku zdrowaśkę.

Kroki jakieś zamaszyste, gwałtowne, szybkie w sieni się słyszeć dały, zbliżyły, drzwi otwarły się z łoskotem.

Za progiem ukazał się mężczyzna młody, w czapce na głowie, ubrany kuso, w długich butach, z fizygnomią i postawą znamionującą pisarza prowentowego, miną zuchwałą i drwiącą.

Nie miał ochoty wchodzić do izby, i zawołał stojąc w sieni:

— Znowu acana drób był w szkodzie! Pókiż to tego

będzie? Kaze pozabijać, jak Pana Boga kooham —pozabijam! Mam już tego dosyć! Het, wypaśliście mi kawałek zboża, niedosyć że tu siedzicie na łasce.

— Mości Więkowski, — odezwał się biorąc w boki Zarzecki—drób mi pozabijacie, ale mi się do mojej chaty zuchwale nie wdzierajcie, bo u mnie też kij stoi w kącie! Słyszycie?

Pan Jakób poruszył się, młodzieniec uskoczył nieco do sieni.

— Ho! ho!—warknął—na tych co się z kijmi porywają, są dyby, łańcuszki i sąd.

— Więkowski! — krzyknął stary—ej! do pasy! mnie nie przyprowadzaj, smarkaczu ty jakiś. Powiadam ci, jam w domu u siebie pan, chooby na barłogu... nie waż mi się na próg!

Pisarz, który niedawno był tak butny, cofnął się jeszcze w tył, znacznie straciwszy na fantazyi i ochocie do boju.

— Przecie ja tu rozbijać nie przyszedłem —rzekł znacznie się mitygując. Robię moją powinność pańskiego pilnując, a jeśli i grozę, to muszę. Zdaje mi się że gdy przychodzę przestrzegać, to mi kijem grozić nie wypada.

— Bóg zapłać za łaskawą przestroge, —odparł stary, całując nóżki asińdzieja i wynos mi się, pókiś cały.

— Kiedy Pan Bóg kogo zgubić chce,—huknął pisarz, to mu rozum odejmie. Tak i z wami! Sami biedy szukacie, w zgodzie z wami, żyć żeby człek ohoiał, to nie można.

— Bo ja ani zgody ani przyjaźni waszej i dworu nie żądam, — odparł Zarzecki — a co mi po nich? Wojna, to wojna!

— A któż ją poczynął?—ciągnął nie ustępując Więkowski.

Stary odwrócił się ku stołowi nie już nie odpowiadając. Więckowskiemu widocznie się ochojało go wyciągnąć na rozmowę, bo nie ustępował.

— Z wami nawet pogadać po ludzku i po sąsiedzku nie można—dodał łagodniej—choćby człek najlepszą wolę miał.

Stał ciągle w progu.

— Masz mi jeszcze co do powiedzenia?—spytał suche Zarzecki.

— Może by się i co znalazło,—rzekł zupełnie spuściwszy z tonu pisarz,—ale kiedy z panem trudno.

Stary ochłenął był także, a może znudzony samotnością, potrzebował się bodaj wyklócić, byle rozerwać.

— No, masz co gadać to wchodzi, ja też ludzi bez racyi nie zabijam. A drzwi zamykaj.

Usłyszawszy ten rodzaj zaproszenia, Więckowski czapkę zdjął, próg przestąpił nieśmiało, i drzwi za sobą, wedle rozkazu, zamknął ostrożnie.

— Jak Boga mojego kocham,—począł—słowo daję że pan by na tem lepiej wyszedł, gdyby ludźmi nie pospował.

Jakób oparty oburącz o stół, słuchał stojąc wyprostowany.

Pisarzowi się nie kleiło, nie mógł powiedzieć co ochojał, a miał coś widocznie na sercu.

Zarzecki uspokojony słuchał i patrzył.

— Nie, bo co prawda to prawda, — ciągnął powoli Więckowski—dwór na was nastaje bez miłosierdzia, człowiekby, swój swojemu, rad i pomódz, a za to jeszcze obrywa. I tyle.

Drób robi szkodę, sam go widziałem we zbożu, jak mi Bóg miły. A no co? Ich tam przez to licho nie weźmie,

na wróble by się złożyło, żeby zaś kiedy ohoć poczywiwe słyszesz.

Mówił ciągle powoli, poczywając potroszę, jakby spodziewając się że Zarzecki mu coś odpowie; ten stał, patrzył pogardliwie, i nic nie odzywał się.

— Ja bo nie jestem złym ozłowiekiem, tak mi Boże dopomóż,—mówił Więckowski—pan mnie zna, z duszy bym rad jak najlepiej, a no dwór na was zawzięty.. To prawiada!

— Wiem ja o tem nie od dziś, — rzekł wreszcie Zarzecki. — Na czym wózku jedziesz, tego piosnkę śpiewać musisz, kochanku, to darmo... Jak mnie tu kochają, tom już doświadczył na mojej skórze. Bóg tam z nimi!

Więckowski poufalej na krok się zbliżył.

— Pan, to jeszcze jak pan,— rzekł oicho — najgorzej zawzięta sama pani. Ta, gdyby mogła, wykurzyłaby was stąd jednej godziny.

— To tylko bieda że nie może! — roześmiał się Zarzecki.

— A no, nie może,—potakując powtórzył pisarz — powiada, co sam na uszy swoje słyszałem, że w tę stronę ogrodu nie ochodzi, aby na obrzydłe chałupsko nie patrzeć.

— Albo ja ją proszę żeby się mojej chacie przyglądała?—wtrącił stary.

— Mnie się zdaje, — mówił Więckowski, że sam pan, który, między nami mówiąc, pod pantoflem u niej siedzi — pan dałby wam piękny grosz za wykupno tego dożywocia.

— Hm!—przerwał stary,—dla mnie też to coś warte że ja im siedzę pod nosem i zawadzam—toć satysfakoya.

Więckowski zupełnie rozbrojony, zapomniawszy o kłótni, roześmiał się, stary także.

Żebym ja był na miejscu waszem,—wtrącił pisarz,—
pał ich dyabli!

— Niech ich palą!—potwierdził Zarzecki.—A no, po-
wiedz ty mi szczerze, czy oni cię z tem przysłali?

— Al Boże uchowaj!—ofuknął pisarz gorąco. Czym
się to ja zdał na parlamentarza? Ależ bo patrząc na wasze
życie litość bierze, ta to bieda nad biedami.

— Pewnie,—odezwał się pan Jakób powoli cedząc.—
Widzisz acan, panie Więckowski, ucz się. Toż samo cię
czeka, jak poczciwie lat trzydzieści wysłużysz.

Pisarz głową pokręcił.

— Taka dola nasza!

— Ale czyste sumienie bratku—także coś warte,—do-
dał spokojnie Zarzecki. Ja nie narzekam na nic, a naj-
mniej na nieboszczkę, bo, gdyby jej był Bóg na godzinę
życia przedłużył, stało by się inaczej! inaczej! Bogu się nie
podało, wola Jego święta!

Więckowski z podziwieniem patrzył na starego słu-
chając.

— Co to oni plotą, proszę pana Jakóba,—odezwał się,
jak w bęben biją że wszystkie te miliony, co przepadły,
nieboszeczka do waszych rąk oddała?

— A wam jak się zdaje,—rzekł stary—hę?

— Juści miała sąd, opiekę, rodzinę, a gdzieby zaś...
—głową kiwając mówił pisarz. Gdzieby zaś!..

— Gdzieby zaś miała miliony te dawać w ręce ta-
kiej hołocie jak ja?—zaśmiał się stary.

Więckowski pilno mu spojrział w oczy.

— Czy wy słyszeliście że we dworze was Hołotę na-
zywają?—spytał pociohu.

Zarzecki się uśmiechnął.

— Jakżebym nie słyszał! Toż to poszło już we zwy-

ozaj Hołotę nas traktować. Bo i prawda, co Hołota to Hołota!..

— Gdybyś pan miliony takie w ręku miał, takiejbyś biedy nie zażywał— dodał Więckowski.

— Widzisz acan, cudze — to święte. Gdybym je i miał, nie tknąłbym. Jest o tem przykazanie Boże.

Pisarz głową pokręcił.

— Jak ono tam jest to jest, a mnie was żal, jak Boga kocham!

— Bóg zapłać, a cóż mnie potem! Chleba z tego nie upiekę,—śmiał się stary.

Pisarz stał ciągle, nie mogąc ni rozmowy dokończyć, ni wyjść, ani się może wydać z czem przyszedł. Obejrzał się parę razy ku progowi, jakby czegoś oczami szukał. W izbie mocno zmierzchało, Jakób zdawał się czekać tylko aby się wyniósł nareszcie.

Jakiś czas milczeli oba.

— Niech się już pan nie gniewa za ten drób i za mój impet,—rzekł pisarz—pan sam wie co służba. Ale bo nie pilnują, jak Boga kocham. Dobranoc!

— Dobranoc,—odparł stary sucho.

Pisarz już się za drzwi wynosił, gdy usłyszał za sobą:

— Słuchaj no, panie Więckowski, jeżeliby tam gadanie było, czy ja dożywocia nie sprzedam, wiesz oo, dokuczyła mi już ta bieda, powiedz, jak mi dobrze zapłacą, pójdę ztąd! Pal ich dyabli.

Zdziwiony niezmiernie Więckowski szybko się odwrócił.

— Czyż na prawdę?— spytał.

— Ja na żarty nigdy nie mówię,—rzekł Zarzecki smutno, żonisko chore, ja nie zdłużam, córka nie wydała,

trzeba gdzieindziej kąta szukać, choćby zakrystyana w kościele.

Dziwnym głosem to mówił. jak złamany i zmuszony.

— Niech zapłacą dobrze, wyniosę się,—dodał—tylko ani skryptu, ani papierka, ani żadnego terminu znać nie chcę; gotowy grosz, od razu cały. Co robić! Ze łzami pójde ztąd, gdzie się życie strawiło—a no! nie ma tu już ani mojej starej jejmości, ani starego nic. Wszystko nowe i kiepskie, moja tylko bieda stara.

Machnął ręką.—Pal ich dyabli!

Więckowski nie śmiał już pytać raz drugi.

— Ja o tem jasnie pani doniosę,—rzekł—a zdaje mi się że rada będzie.

Zarzecki powtórzył raz jeszcze z rodzajem rozpaczy.

— Pal ich dyabli!

— No— to dobranoc!

Pan Jakób głową kiwnął tylko i padł na łóżko jak wysilony, dobył z pod niego flaszkę powtórnie i pociągnąwszy z niej łyk znowu, zatknął ją i przychowwał.

W izbie już było prawie zupełnie ciemno. Skrzypnęły drzwi, weszła powoli Lucia, oburącz niosąc miskę, którą chciała postawić na stole. Zobaczywszy ją, stary zdala zrobił jej znak że jeść nie chce.

— Idźże ty mi z tem jedzeniem,—odezwał się ochrypłym głosem—nie wezmę w gębę. Karm matkę, jedz sama, ja nic nie potrzebuję.

— Ale, ojcie kochany...

— Nie potrzebuję, nie chcę, nie będę jadł,—powtórzył stanowczo.

Lucia stała jeszcze, nie wiedząc czy ma go posłuchać, gdy Zarzecki dodał:

— No ciesz się, ciesz,—postawiłaś na swoim, wynie-
siemy się ztąd. Opłaozę ten dzień, gdy o kiju wywlokę się
z Żabiego—a no, kiedy mus, to mus. Ty masz więcej ro-
zumu odemnie, słuchać trzeba. Sam ginąć mam prawo, a
was morzyć nędzą i głodem prawa nie mam.

Odepchnął ręką misę raz jeszcze i nie dając jej mówić,
zakończył podniesionym głosem:

— Kiedy ci mówiłem że jeść nie będę! Łzy połknę a
jadło by mi przez gardło nie przelazło. Idź z tem, wy tego
więcej niż ja potrzebujecie.

Podparł się na rękę i w półgłosno począł się mo-
dlić.

— Boże miłosierny, któryś wybawił z rąk nieprzy-
jaciół...

Córka stała jeszcze chwilę, niepewna jak ma postąpić,
i widząc upór ojca, musiała się zawrócić. Wyszła ze łzami
w oczach.

Jakób różaniec na rękę wziął i po izbie chodząc zwy-
czajne swe modlitwy na pamięć po ciemku odmawiał.
Świecy ani ogarka nie było.

Pan pisarz Więckowski, który z takim impetem i
wrzawą wpadł do dworku Zarzeckiego, a wyszedł z niego
zamyślony i pomieszany, był choć niewielkiej ekstrakcyi,
ale wielkich nadziei młodzieńcem.

Umiał się, jak to dawniej mówiono, akomodować, był
złym i dobrym, pokornym i zawadyką, insynuował się
zręcznie w łaski każdego, stawał potrzebnym, wykręcał
z biedy i obiecywał wiele na przyszłość. Mówiono że po-
czynął od kuchcika, ale on się tego wypierał, i owszem

procedencyę sobie obywatelską chciął nadać. Nie szkodziło mu to, że z twarzy i postawy był wcale niczego, a we święta i niedziele, gdy się wystroił, wziął półkoszulek biały, krochmalony, mankietki z guzikami, buty nowe, rękawiczki przeprane ale całe, gdy łańcuszek wywiesił na kamizelce, w kościele parafialnym, panny ekonomówny i gardebobiane z przyjemnością na niego spoglądały. Kawaler był całe przyzwoity zdaleka. Włosy miał rozdzielone aż do karku, wąsik ciemny, podkręcony do góry i minę dostatecznie impertynenką.

Panny na które nie patrzył, zadawały mu dumę i ambicyę, może nie bez przyczyny, gdyż oczyma strzelał dosyć wysoko.

Co mu się w głowie marzyło, z tego się nie spowiadał, a mało z kim się zadawał. Stosunki tylko, których potrzebował, umiał utrzymywać i czuwał nad niemi.

We dworze jedną z potęg, przystępnych dla pana Więckowskiego, była wspaniałej postaci, naśladowająca swą panią ruchami i mową, ale niezbyt już piękna i niebardzo młoda, panna Barbara Drobisz.

Była ona powiernicą i pełnomocną Idalii, której od młodości jej służyła. Sam pan Onufry szanował ją musiał, gdyż opinia panny Barbary była wyrocznią dla pięknej Idalii, która wolała gotowe zdania przyjmować, niż pracować nad stworzeniem ich sobie. We dworze wszystko padało przed nią i starało ująć sobie. Mówiono pociachu że przyjmowała prezenta; Więckowski, który ich ofiarować nie mógł, służył w inny sposób. Przymilał się, wzdychał, czcił i w rękę całował pannę Drobisz, pochlebiał jej, donosił, słowem był na jej rozkazy. To uwielbianie zdawało się jej miłem i dała mu dowody łaski, kilkakroć z drażliwych ratując go sytuacyj. Ekonom i rządzca zaczęli mu

poblązać, widząc że go nie wysadzą. Więckowski niekiedy z rana, a wieczorem zawsze chodził z raportami do niej.

Parę razy widziano go przy jednym z nią stoliku pijącego kawę, co go wysoko postawiło w opinii dworu.

— Licho go nie brało,—mówiono po cichu—wiedział gdzie strzeleć! Nie głupi chłopiec.

Zapewne skutkiem dobrego słowa, którego mu u pani dać nie omieszkała protektorka, Więckowski miał to szczęście, że mu zlecenia ważne powierzano. Nic dziwnego że w takich stosunkach z nią będąc, wprost ze dworku Zarzeckich, udał się młodzieniec ku mieszkaniu panny Barbary. Faworyta pani miała niedaleko od apartamentów parę pokoi które zajmowała, a że elegancya była tu w modzie, u panny Drobisz pokoiki całę ładnie wyglądały. I mebelki i kwiaty i dywaniki — i wszystko co należało do przyzwoitego tonu, tu się znajdowało. Ludzie zaręczali, że w biurku miała kapitaliki, gdyż pamiętała o jutrze. Pani Idalia obsypywała ją prezencikami, pan Onufry kilka razy w rok wkupywał się w łaski. Bez Basi pani żyć nie mogła, na jej zdaniu polegała we wszystkim, i wymagała aby cały świat podzielał jej zaślepienie dla Basi. Kto się naraził pannie Drobisz, ten się z Żabiego musiał wynosić.

Właśnie po herbacie, w oknie od ogrodu siedziała faworyta, odpoczywając, gdy na palcach, nizko się kłaniając, wsunął się Więckowski i przyszedł ją w rączkę pocałować.

— Cóż to ja pana dziś nie widziałam?—odezwała się dosyć grubym głosem panna—i tak późno przyszedłeś?

— A bo to, znowu miałem taką historię z Zarzeckim, że o mały do awantury nie przyszło.

Panna Barbara całę rodziny Zarzeckich oierpieć nie mogła.

— Cóż ta hołota znowu zmalowała?—przerwała panna.

— Zawsze oni po swojemu, kury w zbożu, drób w szkodzie, a powiedzieć słowo, to się stawia hardo,—rzekł pisarz.

— Ale bo wy niepotrzebnie się delikatnie z niemi obchodzicie; tak im w oczy plunąć ostro, żeby aż w pięty poszło!—zawołała panna. Co ich masz żałować! Wielka mi fanaberya, pan Zarzecki, co u podkomorzynnej rądle pomynał.

Pisarz się roześmiał.

— Ja też ich nie menażuję,—rzekł—a co posłyszeli dziś odemnie, popamiętają.

— A no, to dobrze! jak Boga Kocham że lubię pana za to. Tu nie ma co z niemi politykować, bo się to tylko rozzuchwała.

— El—dodał pisarz, nosy oni teraz pospuszczali bardzo. Bieda wielka...

— Dobrze im tak, to łajdaństwo jest!—mówiła żywo panna.—Pan i pani przez jakąś pamięć dla nieboszozki podkomorzynnej ich menażują, a ja, gdybym na ich miejscubyla, dawnobym to tałałajstwo precz wyrzuciła.

— A kiedyż mają dożywocie,—odezwał się Więkowski.

— To niechżeby się procesowali! Podkomorzyna nie miała nawet prawa dawać od siebie takich zapisów... Won i po wszystkim.

Pisarz nie odpowiedział.

— Mnie się zdaje,—odezwał się po chwili, że jaśnie pani chciała im opłacić dożywocie, aby się zbyć tej chałupy z oczów.

— A wiesz acan co wówczas odpowiedział stary?—zawołała panna—że na złość im tu będzie siedział. Za co

złość, za to że po śmierci podkomorzynnej pociągał go sąd aby wydał gdzie pieniądze!..

A, przysięgam Bogu, że on wie o tem i palce w to u-moczył. Kryją się tylko i ubóstwo udają, a do tego szel-mostwa należeli. Przecież to całemu światu wiadomo,— paplała stara panna, — że podkomorzyna miała grube kapi-tały; a po śmierci ledwie tyle się znalazło że na skromny pogrzeb pan jeszcze dla honoru rodziny dołożyć musiał. Gdzież to przepadło? kto mógł wiedzieć o tem jeśli nie ten u którego były wszystkie klucze! Co to gadać.

Słuchał z poszanowaniem Więckowski, strzegąc się przeczyć.

— Teraz, — rzekł, jakby jaśnie pani chciała tylko, mnie się zdaje, że oni by dożywocie puścili. Stara umiera, a w domu nie wiem czy chleb mają.

— Ol ol a taż piękna, edukowana panna, co tak do góry nosa darła i co gdzieś sławną była, że klepała po for-tepianie?

— Krowę teraz doil—rzekł Więckowski.

Panna Drobisz plasnąwszy w ręce, śmiać się poczęła.

— Siadaj bo, panie Aleksandrze,—odezwała się udo-bruchana.— Weź sobie krzesło.

Powiadasz że sprzedaliby dożywocie?

— Tak mi się zdaje!

— Pani dla tej chaty do ogrodu w tamtą stronę nie chodzi,—mówiła panna Barbara—żeby się udało panu wsekrecie nabyć tę rudę, obalić, precz znieść, a pani tem zrobić siurpryzę, pewnam że bardzoby rada była.

Wstała myślą tą ozywiona panna Drobisz.

— Jutro o tem z panem pogadać muszę, a kiedy myślisz acan że temu radę dasz, to się podejmij,—pewnam że prezent dostaniesz.

— Al ja i bez tego gotówem co panna Barbara rozkaże,—rzekł Więkowski — ohoć z tym starym pijakiem niełatwa sprawa, ale już jakoś by się zrobiło...

— Jednej rzeczy by mi tylko żal było,—dołożyła panna, że cokolwiek by się zażywili! Niech by to z głodu pozdychało, bo ja panu jeszcze raz powiadam—oni winni że państwo w interesach i że te kapitały ich nie doszły! Stary Zarzecki wiedział o wszystkim, mówię taki że umoczył w to rękę, to umoczył!

Więkowski tylko głową potwierdzał zdanie panny Barbary, która wzięwszy do serca mocno nabyoie dożywoicia i zrobienie siurpryzy, postanowiła z panem o tem pomówić.

Niecierpliwa, zaraz po wyjściu pisarza zaczęła myśleć jakby się najprędzej widzieć z panem Onufrym na osobności. Dnia tego już to było niepodobieństwem, bo z salonu go wywoływać nie chciała, a później dostąpić było trudno. Nazajutrz więc raną dopiero, poszła wprost do pokojów pana Onufrego o tej godzinie, gdy zajęty toaletą, nikogo nie przyjmował. Panna Barbara miała do niego i do pani wstęp zawsze.

Małżeństwo, wedle cudzoziemskiego zwyczaju, miało osobne apartamenta i dwór oddzielny. Pan Onufry często nawet mężkie towarzystwo przyjmował u siebie, bo miał salon kawalerski i kilka pokojów, z wielkim urządzonych gustem. Odznaczała się szczególnie sypialnia i garderoba, w której się ubierał, a ubranie, jak u elegantki, stanowiło u niego ważną zycia chwilę.

Domyśleć się łatwo że mąż tak pięknej pani brzydkim być nie mógł i że dla wdzięku, jakim go pan Bóg obdarzył, miał poszanowanie wielkie, pielęgnując go starannie. Był to mężczyzna więcej niż miernego wzrostu, bar-

dzo kształtnej postaci, chociaż już trochę pulchny, twarzy białej i wesołej, oczu czarnych, włosów ciemnych, rysów bardzo regularnych a niewiele mówiących. Wszystkie ruchy jego, każdy krok zdawał się obrachowany najwydatniejszą piękności. Miał zwyczaj nawet z pomocą zwierciadeł utrzymywać nad sobą kontrolę. Kochał się w sobie jak w żonie swej, jeśli nie więcej. Od rana więc pan Onufry był zawsze wyświeżony, wymyty, utrefiony i ubrany wedle najświeższej mody. Toaleta zabierała mu dużo czasu, a przystępował do niej, jak do spełnienia uroczystej jakiejś missyi względem samego siebie.

Przedzoby się pewnie dopuścił małego przestępstwa jakiego, niż lekceważenia mody i dobrego tonu. Człowiek był ani zły ani dobry, lekki, pusty, bez woli i energii, i niewidzący na świecie nic, nad pozory i formy.

W towarzystwie najmilszym był, ale rachować na niego nie było podobna.

Tego rana właśnie zasiadł był do rozpatrzenia się w swych ślicznych rękach i paznokciach, mając przed sobą cały przyrząd służący do gładzenia, piłowania, szlifowania ich i polerowania, gdy panna Barbara wtargnęła doń ze zwykłą poufałością.

Zrazu inwazyja ta w czasie uroczystej chwili ubierania, trochę go zniecierpliwiała, lecz poznawszy pannę Drobisz, uśmiechnął się i, nie rzucając pilniczka, przywitał ją głową skinieniem.

Był to zwykły poseł, który mu rozkazy żony przynosił.

— Cóż tam kochana panna Barbara mi powie?—odezwał się wesoło.—Jak się dziś Idzia ma?

— Pani chwala Bogu zdrowa,—poczęła panna, stając nieco opodal, ja tu z pewnym interesem do pana hrabiego

(tytuł ten służy zawsze im dawały) przychodzi—ale to wielki być musi sekret między nami.

Uśmiechnęła się złośliwie nieco, a pan Onufry mocno paznokciami zajęty, odpowiedział jej uśmiechem, wracając co prędzej do ważnego zatrudnienia swego, którego przerywać nie mógł, gdyż to plan ogólny mu mięszało. Zbliżyła się panna Barbara i poczęła, obejrzawszy się dokoła, obawiając być podsłuchaną.

— Wie pan hrabia że podobno ta hołota już do takiej nędzy przyszła żeby może i dożywocia się pozbyli! Stary Zarzecki wszystko poprzepijał, nie mają z czego żyć. Czy nie pora by teraz spróbować ich wykurzyć i mojej pani zrobić tem przyjemną siurpryzę...

Jak Boga kocham, proszę pana, możnaby, nic nie mówiąc, chatę nabywszy zrzucić, park rozszerzyć i dopiero panią, która tam nigdy nie chodzi, zaprowadzić. Toby dopiero była szczęśliwą! Słowo daję że pan by jej tem na imieniny najpiękniejsze zrobił wiązanie!

Pan Onufry usłyszawszy projekt, podniósł oczy śmiejące się i wesołe, paznokcie nawet na chwilę zaniedbał.

— Ale czyżby oni odstąpili?—zapytał.

— Hm! — tajemniczo rzekła panna—niech pan hrabia mnie to zostawi, to się może zrobić...

— To najśliczniejszy w świecie projekt, dla uradowania Idzi i rozerwania jej, bo się okrutnie nudzi na wsi,— rzekł hrabia—ale—czy się to uda? czy się uda? I co to może kosztować?

Pokręciła głową panna Drobisz.

— Zobaczemy, rzekła poważnie i tajemniczo; o to idzie, czy mnie pan hrabia upoważnia?

— Z duszy serca! zrobisz mi największą łaskę—ode-

zwał się hrabia wracając do rąk swoich i zmieniając pilniczki proste na zakrzywiony.

— I nikomu ani słowa! — palce na ustach kładąc, do dała panna.

— To się rozumie...—zaczął zeicha p. Onufry. Prawdziwej byś sztuki dokazała, ale dla Basi nie ma nic niepodobnego! Ja to wiem! Pozbylibyśmy się oerzydłej tej załogi brudnej z pod boku i wspomnienia przykrego! Całej tej familii, która tu nas brawuje, na mocy niby jakiegoś prawa.

— Zatem mam pańską plenipotencję? — śmiejąc się zakończyła panna Barbara.

— Najzupełniejszą, — rzekł hrabia ponawiając uśmiech i po drodze przeglądając się w zwierciadle.

Obejrzawawszy się raz jeszcze, panna Drobisz zwolna wyszła z pokoju, skinąwszy głową panu, który z gorliwości podwójną wrócił do swoich paznogi.

Nie będziemy opisywali przebiegu całej tej ważnej sprawy toaletowej, do której wkrótce przybył panu Onufremu pomocnik, niosący zimną, gorącą i ciepłą wodę, ręczniki grzane, gładkie, szorstkie i różne emulsje i płyny, potrzebne do odświeżenia skóry. Po krótkiej z nim naraździe co do stroju, po kilku próbach przed zwierciadłem, pan Onufry był gotów około południa z ubraniem i miał wychodzić do salonu, gdy z okna swego ujrzał zbliżający się pod bramę pałacową ekwipaż prawie nieznaną. Natychmiast włożył szkiełko w oko aby rozpoznać kto to był i twarz mu się powlokła jakąś niedostrzeżoną ohmurką. Gość był tu zawsze pożądanym, bo życie na wsi zbyt jednostajnością nużyło; tym razem może przybywający nie przypadł do smaku. Poznał, a raczej domyślił się w nim gospodarz hrabiego Ludwika, a — posądzał go o „emablowa-

nie“ przy pięknej Idalii, która dlań okazywała się dosyć łaskawą.

Pan Onufry nie był zazdrosnym, bo nie wypadało, ale wolał tych, których żona mniej dobrze przyjmowała. Ludwik pierwszy podobno raz odwiedzał ich na wsi; wprzód, dosyć często, może zbyt nawet często spotykali się z nim w mieście...

Gdy się to działo w pokoju pana, z okna drugiego skrzydła pałacu pani Idalia, ubierająca się jeszcze, bo tu codzienny nawet strój był sprawą niesłychanej wagi — dostrzegła gościa, a ponieważ osoba jego mogła wpływać na toaletę, wysłała natychmiast Basię, aby się koniecznie dowiedziała kto przyjechał.

Gdy faworyta wróciła z imieniem hrabiego Zamieńskiego, pani siedząca przed lustrem leciuchno się zarumieniła. Basia z trochę złośliwości spojrzała na nią.

Suknia lila z białymi koronkami już przygotowana, została odprawioną do szafy, a czarna zadysponowaną. W czarnem uroczej Idalii było jeszcze majestatyczniej.

W ciągu ubierania zamyślona była i miłująca, udając nawet przed swą Basią, której żadne udawanie w błąd wprowadzić nie mogło, że gość ten nie a nic ją nie obchodził. Jednak suknia i przybrane do niej akcesorya, mówiły wiele.

W salonie witali się już dwaj—jakby to powiedzieć? nie wiem! bo nie przyjaciele. Ludwik poichu, szydersko nazywał pana Onufrego: *Le beau Dunois*, a pan Onufry dawał mu przydomek: *Louis le Fat*. Jednak nie przeszkadzało to najserdeczniejszym uściskom.

— Wiesz że spełniłeś miłosierny uczynek,—odezwał się gospodarz—nas odwiedzić to jak chorego, bo my chorujemy, słowo ci daję, na „ziewanie“.

Szczęście że się jesień kiedyś skończy i to nas uprawni do szukania gdzieś „zimowych leży“.

— Ale Żabie jest śliczne, — rzekł gość — rezydencya pańska! macie wszystkie przyjemności *villegiatury*.

Pan Onufry ruszył ramionami, i pociochu szepnął: — *Tout lasse, tout passe, tout casse*. — Żabie nie jest brzydkie, ale w najśliczniejszem miejscu nudzić się można bez ludzi!.. Skazani tu jesteśmy na proboszcza, od którego czasem załatuje lekka woń ozosnku, na pana Grzebińskiego, którego zawsze czuó ambraw, na panią Sylwińską, używającą starej pomady z gwoździkami — i — już nie wiem!..

Troszkę się uśmiechnęli i usiedli.

— Jakże się pani ma? — zapytał hrabia.

— Dziękuję, — rzekł mąż — heroicznie znosi próbę cierpliwości na którą jest wystawioną; ma nawet mężstwo śmiać się z tej atmosfery, co nas dusi!..

Spodziewam się, kochany hrabio, — dodał — że nam choć kilka dni darujesz?

Zamiński nie odpowiadając wyraźnie, skłonił się tylko i odwrócił rozmowę.

— Dokądże państwo na zimę?

— Al! to jeszcze niezdecydowane, — smutnie jakoś, rzekł przypatrując się własnym rękom pan Onufry. — Ja zawsze byłbym za Włochami, za którymi przepadam, Idzia wolałaby może jedną ze stolic europejskich, w których więcej życia — ale, proszę cię, w tych czasach ciężkich, w naszych stosunkach, człowiek nie śmie robić projektów, wszystko się rozbija o te nędzne pieniądze.

— Tak, to prawda, — zimno potwierdził Zamiński. Nie wiem kto powiedział — *qui est-ce qui a des dents?* jabym to przerobił na: kto dziś ma pieniądze?

— A, przepraszam, — rzekł żywo pan Onufry, wy nie-

zonaci możecie i powinniście je mieć — my małżonkowie — zawsze chorujemy na ich niedostatek.

— Nie obgaduj że szczęśliwego stanu swojego! — uśmiechając się rzekł Zamiński.

— Nie narzekam, konstatuje; — zamknął pan Onufry.

Rozmowa w tym sposobie pociągnęła się dalej, pan Onufry był nadzwyczaj seryo, gość udawał wesołość. Bądano się wzajemnie, obsypywano grzecznościami, a mróz chodził między nimi. Zamiński starał się pozyskać, rozruszać, przypodobać się, i spotykał zimną, wyszukaną grzeczność tylko.

Już się zaczynało przebierać treści do dalszego dyskursu, gdy z szelestem podobnym do skrzydeł anioła, ukazała się we drzwiach, w czarnej sukni, owa piękność — bogini... Zatrzymała się w progu udając zdziwienie na widok hra biego, zarumieniła odrobineczkę, i wdzięcząc się poszła, podawszy rączkę gościowi, na swe urzędowe stanowisko wśród kanapy.

Po panu Onufrym mogła poznać że gość mu był nie bardzo smacznym, więc, jako troskliwa gospodyni, tem grzeczniej i uprzejmiej przyjmować go usiłowała.

Zamiński trochę sztywny i zakłopotany się okazywał, ale to można było przypisać zmieszaniu na widok ideału i polityce wobec zazdrosnego męża.

Pani Idalia w ten sposób sobie tłómaczyła jego ostróżną i napozór obojętną rozmowę, kilka razy wejrzeniem nader wyrazistem starała się wlać mu męztwo.

Chociaż w mieście ośmioletnia Alice, córeczka państwa Manczyńskich, zwykle się w salonie nie pokazywała, na wsi czyniono wyjątek i ona zarówno jak dziesięcioletni Arturek mieli prawo obiadować razem z rodzicami. An-

gielka Miss Jenay i guwerner niemiec Hollringer, nie należeli właściwie do towarzystwa, choć z dziećmi razem ukazywali się na pokojach. Wniósł ich, jeżeli nie ożywiło rozmowy, zaludniło przynajmniej pustkę salonową i zrobiło dywersję.

Pani Idalia miała sposobność, której nigdy nie opuszczała, okazania się czułą i troskliwą matką, uścisnęła córkę, poprawiła jej włosy, poszeptała coś—a dziecię przyjęło to zarumienione, jako zwykłą przy gościach komedijkę, z którą już było oswojone.

Śniadanie, potem obiad, niewiele wpłynęły na zmianę usposobień i humorów. Pan Onufry okazywał się o tyle grzecznym ile ściśle było potrzeba by nie zostać niegrzecznym, piękna Idalia ciągle okazywała wiele uprzejmości dla hrabiego, a Zamiński trzymał się ostrożnie, jakby grunt badał jeszcze.

Po obiedzie zaprosił gospodarz do siebie na cygara. Tu w małym saloniku mogli się rozsiąść wygodnie i swobodnie mówić o różnych znajomościach wspólnych. Hrabia, który częściej do miasta zaglądał, miał zapas różnych wiadomości, a że opowiadał zabawnie i kostycznie, choć za pożyczanymi posiłkując się dowcipami (co się nawet najdowcipniejszym trafia)—potrafił nareszcie i pana Onufrego trochę rozchmurzyć.

Być może iż odgadł przyczynę chłodu jaki go od niego spotykał i skuteczne antidotum zadał, przyznając się niemal do pewnej passyjki, o którą był posądzany. Pan Onufry jak tylko zdobył pewność że hrabia mu się nie wkłada do domu w widokach przypomnienia się Idalii, zaczął być dlań serdeczniejszym. Godzili się bowiem zresztą z sobą doskonale, przynajmniej zewnętrznymi formami i je-

dnem pojęciem świata. Byli ludźmi tej samej atmosfery i zasad podobnych.

Zgadało się znowu o nudaach wiejskich i zręczny hrabia, niby coś sobie przypominając, zagadnął.

— Przypadkiem, prawdziwie nie przypominam sobie od kogo słyszałem to, że w domu państwa bawi sławna wirtuozka nasza. Sądziłem żeście ją zabrali z sobą, dla rozrywki; pani wasza lubi podobno muzykę!

Pan Onufry stanął mocno zdumiony.

— Moja żona w istocie lubi muzykę—rzekł, chociaż ona ją czasem do zbytku rozdrażnia, ale o jakiejże wirtuozce mowa?

— Czekał, jakże się zowie? Al *j'y suis*, Aniela Zarzecka, którą Liszt tak wychwalał—musiałeś słyszeć.

Onufry głową potrząsał.

— Zarzecka! Aniela!—mruzczał—u nas! wirtuozka! To jakieś bałamuctwo—*ni vu, ni connu!*

Nagle jakby się opamiętał, zawołał, śmiejąc się:

— Ale to chyba nie może być! Tak! nie u nas ale w Żabiem istotnie musi być pewna panna Aniela i Zarzecka, tylko na uczennicę Liszta nie wygląda wcale!

Zamyślił się chwilę.

— Istotnie słyszałem że grywała na fortepianie! Ale Liszt! Ona i genialny Liszt!

Ruszył ramionami.

— Nie wiem czy o tej samej mówimy,—dodał hrabia, lecz to pewna, że ta o której mi powiadano, jest sławną wirtuozką! Nietylko Liszt, wysoko ją ceni Henselt, Rubinstein, —ma to być talent wielki, ale...

— Ale co? co!—podochwycił Onufry.

— Jak wszyscy artyści, ekscentryczna podobno.

— Aniela Zarzecka! hm!—powtórzył zamyślony mo-

ono Onufry,—być by nareszcie mogło że to też sama figura. Imię i nazwisko jednakie. Muszę ci jednak powiedzieć, że ta co tu u nas jest przy rodzicach—oórka oficjalisty mojej babki, należy do rodziny co nam już—tu siedzi! Nigdy ich nie widzujemy. Al to cała historia! Słyszałeś pewnie przecie coś o podkomorzynie?

Zamiński się uśmiechnął.

— Któż o niej nie słyszał..

— Wzięliśmy tych Zarzeckich po niej w spadku,—mówił pan Onufry.—Ojciec owej panny, był u starej podkomorzynej totumfaokim, miała w nim zaufanie aż do dziwaotwa posunięte. Nie wierzyła absolutnie nikomu tylko jemu! Słyszałeś to pewnie, że po śmierci podkomorzynej owe miliony jej, o których cały świat lat kilkanaście mówił, na które myśmy oczekiwali jak na rzecz niezawodną, minąć nas niemogącą — znikły, ale znikły w sposób niepojęty, bez śladu, bez wieści. Że one istniały, to nie ulega wątpliwości — co się z nimi stało, nie wiemy do dziś dnia.

Naturalnie któż mógł o nich wiedzieć jeśli nie ten powiernik staruszki? Tymczasem do niczego się przyznać, nic nam powiedzieć nie ochoił. Trzymaliśmy go pod aresztem — napróżno.

W tem wszystkim jest jakaś tajemnica—niepojęta—i mnie się zdaje, pewnym jestem, że kiedyś miliony te wypłyną, a my je posiadziemy..

— Ale nie jestże marzeniem iż one istniały?—zapytał hrabia.—Staruszka mogła nimi na jakieś fantazyje pobożne, dobroczynne, rozporządzić ciepłą ręką!

— Al tak mówią ci co jej nie znali, ale ja patrzyłem—na nią i jej życie. Płynęły pieniądze z dóbr, żyła jak zebraczka, nie widywała prawie nikogo, miała jedną *idée fixe*, że wszyscy tracą, a ona za wszystkich zbierać powinna!

Miliony czy krocie, ale coś po niej musiało zostać, a myśmy znaleźli po jej śmierci niespełna cztery tysiące złotych.

Ztąd podejrzenia na Zarzeckiego, który dał się męczyć, nie powiedział nic, a teraz bij zabij na nas. Siedzi tu na lichem dożywociu, i córka jest podobno przy nim.

— Że wirtuozka owa, Aniela Zarzecka, jest tu w Żabim, to mi mówili nasi najpierwsi muzycy, wspominając o niej—rzekł hrabia.

— Więc taż sama!—zawołał Onufry. Diabeł tego by się domyśleć było trudno, bom słyszał że córka starego ekonoma sama chodzi do krów i prania! Jużci wirtuozka inaczejby im mogła pomagać!

— Przepraszam cię,—obojętnie rzekł hrabia—mówiłem że jest excentryczna. Opowiadają historye o niej.

Wspomnienie o panie Zarzeckiej niezmiernie zdało się zajmować i zaciekawiać pana Onufrego, który po kilkakroć wracał do zapytań o niej, a gdy wieczorem przyszli do salonu na herbatę, natychmiast o tem żonie oznajmił, jako o rzeczy najosobliwszej, nie do wiary, o której się tylko co dowiedział.

Nikt nad państwa Manczyńskich nie miał większego poszanowania dla imion, szczególnie cudzoziemskich znakomitości: ta którą chwalił Liszt, której talent uznawał Henselt i Rubinstein, w oczach pani Idalii stawała się osobą obudzającą współczucie i zajęcie najżywsze.

— Ale być że to może?—zawołała z gracyą załamując ręce. Słyszałam że gra pięknie, ale któż nie gra dziś pięknie? Żeby zaś miała zasłużyć na pochwały Liszta to, nie do pojęcia!

To mówiąc zerwała się pani Idalia i nie mówiąc, pobiegła do swej Basi, która ją jedna objaśnić mogła o Zarzeckiej.

Pan Onufry domyślił się przyczyny wycieczki i pokrył ją milczeniem.

Panna Drobisz była właśnie na konferencji z Więkowskiem, gdy dzwonek pani, zupełnie o tej godzinie nie spodziewany, powołał ją do sypialnego pokoju. Przybiegła prawie przestraszona.

Pani Manczyńska stała niecierpliwie oczekując na jej ukazanie się.

— Proszę cię, czyż to może był ta Zarzecka! wiesz, córka tego nieznośnego starego—gra na fortepianie!

Basia rzuciła się z pogardliwym lekceważeniem.

— Gra czy młóci! — odparła — a jużci, z tego jakiś czas żyła nawet. Jeździła się produkować po miastach i tyle tylko że się jej w głowie przewróciło, bo podobno nic z tego nie zrobiła! Głupia dziewczyna!

— Ależ hrabia utrzymuje że była sławną, że się jej pierwsi wirtuozi dziwowali!

Panna Drobisz głową trzęsła.

— Kto ją tam wie, czy się jej dziwowali... a to pewno że jak goła pojechała, tak wróciła. Dziś pierze chusty i krowę doi!

Idalia zadumała się. Przyszło jej na myśl że bądź co bądź, nużby się wielki Liszt dowiedział, że hrabina Idalia, która z takim entuzjazmem odkradła mu rękawiczkę po koncercie, dawała u siebie mrzeć z głodu wirtuozce przez niego upatentowanej!

Basia patrzyła na swą panią, niebardzo rozumiejąc co się jej stało, lecz dla bezpieczeństwa wszelkiego dodała jeszcze:

— Co tam może być osobliwego w tej dziewczynie! może kiedy co i umiała z łaski podkomorzynnej co ją edu-

kowała, a teraz ani śladu już. Blizko roku jak przy matce siedzi—powiadam pani że krowy doi!

I roześmiała się.

Pani Manczyńska nie dając już po sobie poznać co myślała, głową poruszyła i zwolna wróciła do salonu, już więcej nie mówiąc o Zarzeckiej.

Utkwiła jej jednak w głowie mocno, z powodu że tak wysoko postawionych miała wielbiocieli.

Na chwilę pomyślała nawet, czyby nie próbować zbliżyć się do niej jakoś—ale mąż, któremu po cichu zwierzyła się, jakkolwiek posłuszny jej zawsze, oparł się temu.

— Proszę cię,—rzekł—wiesz o naszym stosunku do tej hołoty, oni są nieprzyjaciółmi naszymi zabitemi. Moglibyśmy się narazić..

Gotowi by dać nam od kosza. Stary jest podrażniony, nie pozwoli córce zbliżyć się do nas...

Zresztą ta jej sława, to imaginacya łatwowiernego hrabiego, z którego sobie mże zażartowano! To nie może być. Dziewczyna bez wychowania...

Potrząśł głową; pani Idalia nie nalegała.

Wieczorem, odprowadzając Zamińskiego, odezwał się pan Onufry:

— Niepotrzebnieśmy przed moją żoną wspominali o tej Zarzeckiej. Jej to zaraz poszło do głowy, bo niezmiernie ceni talenta. Jestem pewny że wszystko to egzagerowane!

— Mnie się zdaje że nie,—odparł hrabia—ale się znowu nie macie obowiązku losem tej wirtuozki tak zaprzętać. Co to was obchodzi...

— O tyle tylko, że radzibyśmy się pozbyć ich wszystkich ztąd, i ani znać, ani wiedzieć o nich! — dokończył Onufry.

Rzucone słowo hrabiego więcej wszakże zaniepokoiło oboje państwa, niż się przyznawali!

Wieczorem, dowiedział się od kamerdynera pan Onufry, że panna Zarzecka grywała i na organach w kościele, a gdy czasem zagrała, ludzie płakali, tak to było śliczne... Mówiono i o śpiewie dużo... Pan Onufry wszystko to egzageracją nazywał...

Drugiego dnia pobytu swojego w Żabiem, hrabia Zamiński po obiedzie począł się skarżyć na okropną migrenę. Miss Jenny i pani Idalia radziły mu różne wypróbowane lekarstwa, on dowodził że z doświadczenia to ma, iż mu nic nie pomaga oprócz milczenia i spokojnej przechadzki po wolnem powietrzu. Chwytał się ciągle za głowę i na ostattek wyprosił się do swojego pokoju, z kądem miał po przejściu gwałtownego paroksyzmu przedsięwziąć tę powolną, samotną, leczącą przechadzkę po parku.

Niezmiernie go to bolało że musiał opuścić towarzystwo, lecz nie ma nic nieznośniejszego nad chorego gościa, a więc postanowił uciec, czyniąc niejaką nadzieję, że gdy migrena, która czasem nagle przechodziła, ustanie—nagrodzi to sobie i t. p.

Dano mu na przypadek krople, pan Onufry sam go odprowadził i dosyć wesół powrócił do siebie. Hrabia ten ciężył mu i bez migreny. Schwytał kilka razy wzrok żony zwrócony ku niemu sympatycznie i zdawało mu się że Zamiński nie może się nie kochać w jego Idalii. Nie groziło to najmniejszym niebezpieczeństwem, gdyż p. Onufry wiedział z doświadczenia że żona jego lubi się podobać, ale się w żadną intrygę uwikłać nie da, jednakże wolał być jedy-

nym celem jej wejrzeń pełnych wyrazu a zupełnie próżnych znaczenia.

Hrabia powróciwszy do swojego pokoju i flaszeczkę z kroplami postawiwszy na kominie, jak tylko sam nasam został, odzyskał wyraz twarzy zwykły, nie okazując już najmniejszego śladu cierpienia po sobie. Był tylko troszkę niespokojny, kilka razy w ogród, wychyliwszy się wyjrzał, wyszedł, dumał i wypaliwszy parę cygar, nie bez pewnego wahania się—wyszedł do parku.

W tej godzinie był on pusty zupełnie, Miss Jenny i nauczyciel młodego chłopca, wybrali się na spacer z dziećmi w inną stronę, pani Idalia sama nader rzadko odbywała przechadzki po ulubionym parku, potrzebowała mieć świadków swej miłości dla natury, unosiła się nad nią tylko gdy ją słuchano i patrzano na nią, bo jej entuzjazm dawał wdzięku. Gdy nie miała widzów i słuchaczy, wołała leżeć na kozetce, czytać oś albo drzemać, lub słuchać paplania swej Basi.

Hrabia więc mógł posunąć się bezpiecznie w głąb parku, nie spostrzegając nikogo. Czynił to z taką ostrożnością niespokojną, jakby popełniał czyn jakiś obawiający się ludzkiego oka i świadków... Przemykając się ciemnymi ścieżkami, po pod drzewy, dotarł wreszcie do rowu i parkanu opasującego ogród, w tem miejscu właśnie z kądem widać było „obrzydłą chałupę“ Zarzeckich. Niegdyś znajdowała się tu furtka, którą wyjść było można w pole. Pani Idalia, zaprzestawszy chodzić w tę stronę, kazała ją być zabici, nie usłuchano jej jednak, bo robotnikom do parku bliżej tędy chodzić było. Chociaż zabita kołkiem otwierała się łatwo.

Błądząc tu pan hrabia zbliżył się do wyjścia, niby

bezmyślnie poprobował furtki, a gdy ta się otwarła, trochę zawahawszy się wydobyl na pole.

O kroków kilkanaście widać było chałupę z nędznem jej ogrodzeniem, z ogródkiem na pół spustoszałym, ze drzwiami na przestrzał otworzonymi. Ścieżka, wiodąca do niej była zarosła pokrzywami i ledwieznaczną. Stary dworek stał jakby pusty, żywej duszy około niego, kilka kur tylko podlatywało przy płocie, usiłując się na pole wy dostać, ale widok człowieka spłoszył je. Uczuły się winne i przestraszone z krzykiem pierzohęły.

Zamiński stanął, mało co odszedłszy od furtki, w niepewności co dalej z sobą pocznie, patrzył na dworek długo, spoglądał dokoła, szukał kogoś oczyma, i po długim namyśle dopiero zwolna się posuwać zaczął ku chacie. Szedł tak niby spacerując, choć cel przechadzki był wcale niepo nętny. Plot, który z tej strony niby ogradzał sadek, le dwie się trzymał, ale wnijścia ztąd nie było. Musiał więc przechadzający się z migreną iść dalej wzdłuż płotu, za wsze dla przechadzki niby, zwolna, tak sobie. Obejrzał się parę razy niespokojnie, a że nikogo nie było, szybkim już krokiem, okrążając ogródek, dostał się do furtki z drugiej jego strony... Stała ona otworem, i tu także nie było ni kogo. Okno jedno przysłonięte było jakąś firanką, drugie zamknięte okiennicą. Kilka wróbli poskakiwało po ziemi świergocąc. Pan Zamiński stał czas jakiś, niby się spodzie wając doczekać kogoś, potem ostrożnie wkroczył i posunął się ku samym drzwiom chaty.

Choć szedł krokiem cichym, posłyszec go ktoś musiał, otworzyły się drzwi, ukazała głowa ze związanemi bezła dnie bujnemi włosami, ciche — Ah! dało się słyszeć. Pan Zamiński ze zdjętym kapeluszem stał przed panną Anielą, osłupiałą z podziwienia, zarumienioną ze wstydu. Dzie-

wcę było tak zmieszane, że nie potrafiło uciec, a ubiór byłby cofnięcie się usprawiedliwił. Piękne ręce miała całe obnażone, na piersiach niedostatecznie okrywającą je chusteczkę, nóżki bosa w ładajakich trzewikach. Tylko młodość wielka i prawdziwa piękność co płynie z ducha, mogą nie zbrzydnąć tak się przedstawiając oku.

Był to, mówiąc dzisiejszym językiem, obrazek realistyczny nadzwyczaj wdzięczny, chociaż nędza go odmalowała.

Zamiński patrzył i nie znalazł słowa na powitanie. Lucia nieco ochłonawszy, poprawiła chusteczkę i zdawała się z mężstwem oczekiwać rozmowy, a nawet z pewnem wzruszeniem, które się mogło nazwać radosnem.

— Pan? tu?—odezwała się pocichu.

— Ja! i — słowo daję że umyślnie dla pani, choć pod pozorem odwiedzenia państwa Manezyńskich.

— Dla mnie? pan?—potrzęsała głową. Twarz jej przybrała wyraz mężstwa i energii nadzwyczajnej. Spojrzała śmiało w oczy mówiącemu.

— Nieprawdaz, — rzekła trochę szydersko,—znajdziesz hrabia, że w tych warunkach w jakich dziś jestem — dogodnie będzie pomówić ze mną?

Zmieształ się hrabia i krok się cofnął. Krew mu twarz oblała.

— Pani byłaś i jesteś nielitościwą, nawet dla tych co jej najlepiej życzą,—odezwał się urażony.

— Chciałaś hrabio powiedzieć zapewne, nielitościwą nawet teraz, gdy sama potrzebujesz liteści! niestety!

Przepraszam,— dodała Lucia—świat, ludzie, losy nie nauczyły mnie być inną jak jestem. Owoc który nie znał słońca, nie dojrzewa, gorzknije.

Hrabia patrzył na nią gdy mówiła z wyrazem, w któ-

rym i namiętność odkryć było łatwo, i trochę gniewu i jakby przykrość z doznanego zawodu. Lucia zmierzyla go chłodnemi oczyma.

— Wdzięczną panu jestem żeś mógł pamiętać o mnie biednej i niezasługującej na wspomnienie, — odezwała się spokojnie. Widzisz mnie w nowej metamorfozie, która wątpię aby była w jego oczach korzystną. Pamiętamy się z tych czasów gdy ja z bukietem, osypywana oklaskami wychodziła na estradę, a dziś, dziś jestem prostą służebną chorej matki z zapracowanemi rękami, prawie w łachmanach. Widzisz pan.

— Właśnie dowiedziawszy się że pani możesz potrzebować przyjaznej ręki, rady, opieki, nie wahałem się — rzekł hrabia.

Nie dała mu dokończyć.

— Dziękuję panu, dziękuję, — zawołała żywo, — pomóż nam może tylko Bóg; zresztą jakimże prawem uciekałabym się do niego! Nie mam żadnego.

— Bo pani wierzyć nie chcesz, — począł hrabia.

Znowu Lucia mu przerwała.

— Nie nie chcę ale nie mogę uwierzyć ażebyś pan, pan, hrabia, mógł się interesować kimś takim jak ja, chyba chwilowo dla zabawki, a ja — za rozrywkę nikomu służyć, być igraszką — nie potrafię.

Al tak, — poczęła z gorączką jakąś — w mojem położeniu powinnabym może być powolniejszą, — niestety! Pan Bóg mi w serce wlał taką dumę i poczucie godności, że z siebie nawet dobrej córki zrobić nie mogę. Jestem i dziś w tych łachmanach, — dodała chwytając oburącz i potrząsając sukienką — jestem i dziś tą fantastyczną artystką, której usta nie umiały kłamać.

— Panno Aniello, — wtrącił hrabia — pani jesteś zbola-

łą, szanując jej bolesć przyjmuję od niej wszystko, lecz—godziłoby się lepszem słowem odpowiedzieć na moje współczucie. Przy największej dumie są położenia, w których pomoc jakąś z przyjaznej dłoni przyjąć nie jest upokorzeniem.

— Tak,—odparła Lucia z uśmieszkiem,—lecz są położenia i stosunki w których przyjęcie pomocy wkłada obowiązki. Mówmy otwarcie, panie hrabio. Uczyniłeś mi niegdyś ten zaszczyt, gdym jeszcze była niby sławną artystką, żeś mi raczył okazać pewną sympatyę. Nie mogła ona być tak gorącą, żebym ją miała brać na seryo—serce moje nie uderzyło,—rozstaliśmy się obcy sobie. Dziś to uczucie jakieś mi hrabia okazywał, czyni mnie podejrzliwą.

Zamiński stał pokręcając wąsa zasępiiony.

— Gdyby to uczucie, które pani za tak lekkie uważasz, w istocie było jakąś fantazyą ohwilową, nie wytrzymałoby próby czasu i położenia,—rzekł ohmurno.

— Właśnie tej fantazyi—przerwała Lucia, zdaje się, że dziś zbiedzona istota, przyciśnięta nędzą, łatwiej uledez jej może? Nieprawdaż?

Rozśmiała się boleśnie.

— Al hrabio—dodała wybuchając ze śmiałością dziwną—gdyby serce moje ciągnęło mnie, gdybym kochała, mogłabym się zapomnieć, unieść i chwilę szczęścia opłacać choćby zgubą własną—ale serce moje milczało i milczy. Chciałżebyś mnie bez serca?..

— Chciałbym abyś pani uwierzyła w to że ja mam serce!—przerwał hrabia.

— Panowie to nazywacie sercem!—szepnęła Lucia.—Widzisz hrabio, ja, gdyby mi serce uderzyło dla żebraka, dla ostatniego z ludzi, poszłabym z nim i za nim, — wasze

serce tak daleko nie obowiązuje i nie prowadzi. Jakże mam w nie wierzyć!

Dobylł chusteczki batystowej hrabia i otarł czoło — nie wiedział co mówić, nie chciał odejść, pozerął oczyma Lucię i ważył w myśli co miał dalej począć.

W tem głos z za drzwi dał się słyszeć, słaby, jakby z piersi dogorywającego, Lucia drgnęła poznając w nim wołanie chorej matki.

— Czekaj pan tu chwilkę! powracam!—zawołała z rodzajem trwogi.—Chwilkę tylko.

Otworzyła drzwi przy których stali i wbiegła do przyoiemnionej izdebki. Zapomniała zamknąć je za sobą i przez pół-otwarte wzrok hrabiego mógł się woisnąć do wnętrza. Naprzeciw właśnie stało łóżko niskie, osłonięone małym odartym parawanikiem, po nad nim leżącą w poduszkach widać było głowę i twarz wybladłą, prawie trupią kobiety, która niecierpliwie córki wołała, pół-senna. Do koła widać było niedostatek, opuszczenie, nieład, jaki otacza chorych, gdy przy nich braknie posługi. Na stołkach leżały odzież, poduszki, na ziemi stały faszki i garnki, naczynie z wodą, zapomniane kociołek, resztki jadła którego na prędoe nie miało gdzie postawić. Lucia już pochyłona stała nad uciszoną matką, która ledwie usłyszawszy jej głos, poczuwszy rękę, znowu usypiać poezęła.

Chwilę stała nad nią Lucia załamawszy rękę, zdawała się widokiem jej do jakiegoś heroizmu pobudzać, dwie łzy z pod powiek się potoczyły, z rozpaczliwym niemal postanowieniem jakimś powróciła ku drzwiom i wyszła do oczekującego na nią hrabiego.

Nie uszło to jej baczności że Zamiński mógł widzieć co się tu działo. Przymknęła drzwi ostróżnie. Smu-

tkiem obleczoną ale pełną odwagi twarz zwróciła ku niemu.

— Wiesz pan położenie moje, nasze,—wyrzekła—ale go nie znasz w całej jego rozciąłości. Matka moja potrzebuje opieki, starań, lekarza—może być ocaloną jeśli ją lepsze niż moje niedołężne staranie otoczy. Ojciec mój—najzacniejszy z ludzi, jest złamany doznaniem nieszczęściami, ja nie mam nic nad te dwie ręce bezsilne, które snuły poezją a pracować nie umieją! brat Zygmunt uczy się o razowym chlebie...

Chcesz pan ciężar mojej rodziny całej wziąć na siebie?

Głosu jej zabrakło na dokończenie tego co powiedzieć chciała—hrabia się mógł domyśleć reszty. Z oczów jej płynęły łzy, a ręka któremi otrzeć je chciała była bezsilną i drżącą.

Jeszcze się hrabia nie zebrał na odpowiedź, gdy drzwi z drugiej strony otwarły się zwolna i przez nie ukazała czerstwa twarz Zarzeckiego i jedna ręka obwinięta różańcem. Zobaczywszy córkę na rozmowie z nieznanym i wytwornie ubranym młodym jeszcze mężczyzną, pan Jakób jakiś czas stał niepewien czy ma wyjść, pytać, wtrącić się do tej rozmowy, lub cofnąć. Lucia, która go już zobaczyła, zwróciła się ku niemu śmiało.

— Pan hrabia Zamiński,—odezwiała się nie zważając na pomieszanie gościa, który nie spodziewał się być tak pochwyconym—dawny mój znajomy z koncertów jeszcze... Dowiedział się przypadkiem że tu jestem i był tak łaskaw...

Zarzecki jsk stał licho i oszarpano odziany, z różańcem w ręku, wyszedł powoli i skłonił się od stóp do głów opatrując gościa dosyć podejrzliwymi oczyma.

Hrabia pomieszany potrzebował chwili, aby przytomność odzyskać. Przyszła ona, nawykłemu do różnych położzeń i spotkań, nie bawiało.

— Byłem i jestem jednym z wielbicieli talentu córki pańskiej, — rzekł. — Przypadkiem znalazłszy się w tych stronach, dowiaduję się że panna Aniela się tu znajduje — nie mogłem się wstrzymać ażebym nie pośpieszył tu.

— A, bardzo panu jesteśmy wdzięczni, — rzekł Zarzecki. Widzisz pan co się z nami dzieje! — wskazał rękami dokoła. — Nędza, bieda! nie ma na to ratunku. Dopust Boży! Kara za grzechy... Szkoda dziewczyny że się tu poniewiera ale matka chora, my biedni, lepsze to niż muzyka.

Pan tu pewnie, chyba u Manczyńskich? — dokończył stary.

— Tak jest! — wyjąknął niewyraźnie Zamiński.

Pan Jakób się skrzywił, nie tając z uczuciem jakie miał dla nich.

— Niechże pan im o nas nie nie rozpowiada, — rzekł — boby się nadto cieszyli nędzą naszą. My z tym dworem nie mamy nic — nic...

Lucia stała spoglądając to na ojca, który ciągle się przyglądał ostro córce zarazem i jej gościowi.

— Możeby państwu mógł być w ozem pomocą? — po długim dosyć milczeniu, — rzekł hrabia, zabierający się do odwrotu.

— Jakżeż my jeszcze, dzięki Bogu, nie przyjmujemy, — odzwał się Zarzecki — protekcji żądać nie ma ani tytułu ani gdzie jej użyć... Za dobre serce — Bóg zapłać.

Lucia wejrzeniem potwierdziła wyrazy ojca, który patrząwszy na córkę, jakby się wcale o nią nie obawiał, skłonił głową gościowi, i zostawiając go sam na sam z Lu-

oia, powrócił do swego alkierza, drzwi mocno zamykając za sobą.

Wszystko to co otaczało tu niegdyś piękną i obudzającą zapalę artystkę, nie mogło dziś dla niej dawnego współczucia wywołać, hrabia znacznie był ostygł, stał jakby zawstydzony. Dłużnym jej był odpowiedź...

— Widziałeś pan mojego ojca,—dodała Lucia. Pod tą bardzo pospolitą postacią, ukrywa się dusza mężka, znacność wielka, pobożność egzaltowana i trochę tego dziwactwa, które ja po nim zapewne mam w spadku. On, matka, brat i ja składamy rodzinę całą, biedną, ale w niczem nie splamioną dotąd... Rozdzielić się z niemi nie mogę, to mój świat, nawet gdy mnie nie rozumie—kto dla mnie ma jakie uczucie, musi ich wziąć razem ze mną!

Spojrzała na stojącego przed sobą hrabiego z wyrazem rozpaczliwym, widocznem było drżenie ofiary, która siekiery i stos ma przed sobą.

Zamiński milczał zawstydzony, jakby coś ważył i układał.

— Wszystko to,—rzekł głosem jakimś bezbarwnym, którego znaczenia trudno się było domyśleć—wszystko to bynajmniej mnie nie zraza.

Jeżeli uwolnienie się ztąd, gdzie państwu jest wśród nieprzyjaznych ludzi—przykro i niewygodnie, może losowi ich ulżyć; ja się ofiaruję znaleźć dla nich schronienie, i obmyśleć zaspokojenie potrzeb...

Tu Zamiński się zaciął i spojrzał na Lucię, której usta zacięte, wzrok dziki prawie, malowały rozpacz.

— Oprócz przyjemności słyszenia gry pani, głosu i pozyskania jej przyjaźni, dokończył sucho i ceremonialnie, nic więcej nie żądam.

Sklonił się przed odartą i bosą dziewczynką, jakby

zegał damę w salonie i nie doczekawszy się odpowiedzi, chciał już odejść. Przypomniał sobie snąc, że te nieokreślone obietnice mogły być niedostateczne i dorzucił kłaniając się.

— Dam pani znać, gdy znajdę co potrzeba.

Lucia ręką pociągnęła po czole, wlepiła w niego oczy i głosem słabym jedno tylko słowo wymówić mogła.

— Dobrze!

Odwróciła się i wbiegła żywo do izby, w której matka leżała.

Nie musiał pewnie hrabia przewidywać sceny, jaka go tu spotkała, gdy się pod dworek podkładał, inaczej wyobrażał sobie i jej ubóstwo i przyjęcie. Wychodził rozdrażniony, gniewny na siebie i na Lucię, a nadewszystko za zakończenie rozmowy i zobowiązanie, jakie wziął dobrowolnie na ramiona. Wszystko to przyszło jakoś niespodzianie, liczył teraz i ważył, co go współczucie dla artystki kosztować miało. Ojciec, matka i w dodatku brat, który był zagadką, brat młody, zapewne dumą siostrze podobny? Miłosierdzie dla rodziny musiało wywołać komentarze, skompromitować, okryć pewną śmiesznością i zamknąć przed nim wrota do bogatego ożenienia, które było programem życia.

Rozwazał, czy namiętnostka, której uległ, wartą była aby ją tak drogo opłacać?

W tych myślach Zamiński pospiesznie okrążywszy dworek, powrócił na ścieżkę pokrzywami zarosłą, podkradł się pod furtkę ogrodową i znalazłszy ją niezapartą, rzucił się w park oglądając, czy go kto nie widzi. Nie spostrzegł nikogo.

Chciał już zrzucić z siebie migrenę i powracać do salonu, ale czuł się jeszcze tak wzburzonym i skołatany, że musiał dla uspokojenia przedsięwziąć przechadzkę.

Ból głowy czuł teraz w istocie, bo nie rad był z siebie. Artystka, mimo swej nędzy, wydawała mu się istotą dłań niebezpieczną, energiczniejszą niż on, zdolną zawojuwać a niemogącą się ugiąć i być podbitą. Mówiła mu otwarcie, że serca dla niego nie miała, a razem że się gotową była poświęcić dla rodziny. Sobie zostawiła rolę ofiary, jemu kata. Wzdrygnął się Zamiński, było to upokarzającym. Chcąc z nią stanąć na równi, potrzeba było walczyć szlachetnością i poświęceniem. Płocha fantazyja groziła przerodzeniem się w groźny dramat, mogący życie zwichnąć.

Zaprawdę, było myśleć o czem. Hrabia przywodził sobie na pamięć piękną ową, natchnioną Anielę, gdy tysiące oczów ścigało ją na estradzie, odśpiewującą rzewne melodye Chopina, które tak doskonale umiała odtwarzać, i porównywał z tą nieszczęśliwą, odartą, zaniedbaną istotą, którą przed chwilą miał przed sobą. Powinien się był rozczarować i ostygnąć, dziwnem jednak prawem wrażeń kontrastów, panna Aniela wydawała mu się dziś ponętniejszą może jeszcze, z tą rozpaczą tragiczną, w tej nędzy i zaniedbaniu, niż była wśród chwilowych swego talentu tryumfów.

Drażniły go jej chłód pogardliwy, jej mowa szyderska, jej ofiarność dla rodziny, samo upokorzenie jakiego doznał. Mógł poprostu uciec, zamilczeć, zerwać, a na to zdobyć się nie czuł siły.

Łajał się, chodząc pomiędzy klombami, wyrzucał sobie że brał to tak na seryo, że podnosił prostą awanturkę do wysokości wypadku, mogącego zamącić życie. Jak bardzo często się zdarza, napój na pozór niewinny, upajał.

Godzina już tak była spóźniona, że hrabia musiał powrócić do salonu. Nie wiedział co go tam czekało.

Piękna pani Idalia, choć Zamiński był dla niej tak obojętnym jak w ogóle wszyscy, męża nawet nie wyjmując,

miała w tem pewną pociechę myśląc, że go rozkochała. Była tego pewną. Miło jej było, gdy dla jej pięknych oczów cierpiano. Z tajemniczym uśmiechem, w całym blasku swych wdzieków, wychodziła do salonu napawać się cierpieniem swej ofiary.

Gdy Zamiński z przybraną migreną wysunął się do ogrodu, nie spostrzegł w nim nikogo wprawdzie, ale trafem zobaczyła go zbierająca młode orzechy Barbara. Błądny chód pana hrabiego zaintrygował ją, ściagała dalej oczyma gościa i dopatrzyła, że wyszedł za furtkę.

Nadto była ciekawą, aby go nie śledzić w dalszym pochodzie. Około parkanu wśród gęstej leszczyny była ławka, na którą wstąpiwszy przekonała się, że hrabia do dworku zmierzał.

Nie ruszyła się już z obranego stanowiska, dopóki nie wysledziła tajemnicy. Zamiński nie przypadkowo zaszedł do chałupy, bawił w niej dosyć długo, w ostatku zmieszany i zaczerwieniony opuścił ją, oglądając się trwożliwie.

Dla panny Drobisz dosyć tego było, aby się domyśleć, że do «obrzydłej chałupy» nic innego nie mogło ściągnąć gościa nad — kobietę. Uradowała się niezmiernie z odkrycia romansu zniemawidzonej przez siebie Zarzeckiej, na którą dotąd nie można było nic powiedzieć, prócz że była dumną i nieznośną.

Powróciła do pałacu uszczęśliwiona, a że długo się z niczem nie umiała ukryć przed panią, natychmiast do niej z raportem pośpieszyła.

Pani Idalia miała właśnie wychodzić do salonu, gdy zdyszana Basia nadbiegła.

— Co ja wiem! co ja wiem! — zawołała wpadając, — co mi się udało odkryć!..

Nim zdziwiona pani spytała o przyczynę tego rozgoryczowania, panna Drobisz już jej szeptać poczęła.

— Wie pani co hrabia Zamiński robił popołudniu?

— Chory na migrenę!

— Gdzie tam! komedia! wykradł się z parku na czułe *rendez vous* z panną Zarzecką!

Idalia się zarumieniła, uczuła gniew, nie mogło ją nic więcej oburzyć nad to że śmiał, czułe robiąc do niej oczy, strzelać niemi i myślami gdzieindziej.

— To zie może był—odezwała się porywco.

— Na moje oczy widziałam! jak panią szanuje!

— Cożeś widziała?

— Jak się podkradał pod chałupę, mało nie pół godziny tam był i wyszedł z niej jak pijany... Do kogóż mógł tam chodzić?

Pani Manczyńska przypomniała sobie że o pannie Zarzeckiej w salonie była rozmowa. To potwierdzało domysły Basi. Zagryzła piękne usta.

— Proszę cię,—odezwała się zimno—co nam do tego! Ale nie powiem żeby to było ładnem, iż przyjeżdża do nas z wizytą, aby tu u nas zawiązywał jakieś intryżki...

Pani przeszła się parę razy po swym pokoju, niecierpliwą rączką przestawiając krzeselka, główkę miała spuszczoną, dotknęło ją to widocznie.

— W moim domu,—szepnęła głósikiem drżącym,—to mi się wcale nie podoba...

Panna Barbara się rozśmiała.

— Tylko na miłość Boga,—rzekła całując ją w rękę—niechże pani mnie z sekretu nie wydaje i nic z tego nie robi. Czy to pierwszy raz się co podobnego dzieje. A pan Floryan, proszę pani, co jeździł zawsze z uszanowaniem do

Pobiedzisk i nikt w świecie nie wiedział że tam służącą tylko bałamucił. Myśleli że się o pannę stara. Dopiero się to później wydało. Wszyscy oni tacy oi mężoznani..

Nie zdawała się słuchać tego pani Manczyńska, spójrzała w zwierciadło—i miłożoną wyszła do salonu.

Hrabiego jeszcze w nim nie było. Wzięła męża na stronę i poczęła mu coś opowiadać żywo.

Poruszał głową słuchając.

— Najprostsza rzecz w świecie—odezwał się do żony, ja go tu zainterpeluję otwarcie o odwiedziny we dworku. Powiem zem sam widział. Jeżeliby to mogło—choćby nawet wyjazd jego przyśpieszyć—mniejsza o to.

Pani Manczyńska nie miała czasu odpowiedzieć mężowi, gdy hrabia ukazał się w salonie. Oko jego bardzo biegle do czytania po twarzach, pochwyciło zaraz jakiś cień na fizyognomii męża i żony, spoglądających nań teraz inaczej.

Piękna Idalia odeszła ku kanapie przyjmując go lekkiem głowy skinieniem, a Onufry spytał:

— Cóż migrena, zapewne przeszła po przechadzce?

— Niezupełnie, ale znośną się stała, — rzekł hrabia.

Gospodarz któremu pilno już było ukąsić, wskazał krzesło przy stole i—ze śmiechem, pół głosem, schylając się do ucha, dodał.

— Przepraszam że cię trochę, mimowoli szpiegowaliśmy słowo ci daję że się to stało przypadkiem. Chodziłeś do dworku Zarzeckich? Co to było?

Pytanie to padło jak wystrzał pistoletowy, oczy iskrzące się gniewem samej pani, wlepione były w winowaj-

cę, który zawahawszy się, obejrzał zdziwiony i odparł z udaną nieźle obojętnością.

— Ciekawość poprostu! Zdaje się że mówiłem to państwu wczoraj, iż o wirtuoźce słyszałem. Była wątpliwość czy to taż sama, której rzucaliśmy bukiety, którą Liszt tak chwalił. Chciałem się przekonać. Pod pozorem szklanki wody wdarłem się do chaty i miałem przyjemność poznać pana Zarzeckiego.

Odpowiedź była dosyć zręczna.

Pani Idalia dodała żywo:

— Juścić i wirtuożkę zobaczyó?

— Którą zaledwie poznać mogłem w bosonogiej istocie, perkalikową sukienką zszarzaną okrytej! — westchnął.

Odparta napaś wywołała spojrzenie na siebie obojga gospodarstwa. Hrabia nie okazywał po sobie ani żeby się uraził, ani by uozuł niedyskreoyę pytania. Ożywił się nawet i rozweselił, żeby lepiej pokryć zniecierpliwienie.

— Nędza okropna w tej chatcie!—dodał z wyrazem politowania.

— Której sami są winni,—począł pan Onufry. Stary jest pijak i na pół waryat, a dzieciom zamiast dać wychowanie stożowne do ich stanu, poprzewracali głowy. Z panny, co mogła być dobrą garderobianą, zrobili niby wirtuożkę, syna słyszę kierują na uczonego! Wszystko to mnoży proletaryat ten niedojrzały, w pretensyach—któremu źle jest na świecie i nam z nim także!.. Cóż chcesz, taki dziś prąd nieszczęśliwy. Arystokraoya uozy się rzemiosł, a ci ichmoście garną się do sztuk i naukil..

— Jakże pan znalazł sławną wirtuożkę *suq*?—zapytała ze złośliwym przyciskiem piękna pani.

— Tak jak mówiłem państwu, niezmiernie zmienioną, odartą ze świetnej aureoli.

— Przypomniała sobie dawnego admiratora? — mówiła z przekąsem pani Manczyńska.

— On sam się jej przypomniał, podchwycił śmiejąc się hrabia, — chociaż był tylko admiratorem talentu. Wielbicieli swych wdzięków panna Aniela traktowała tak pogardliwie, iż się nikt nawet zakochać nie ważył...

Pani Idalia bawiąca się albumem, spojrzała uśmiechając się złośliwie.

Hrabia niemal z tryumfem wyszedł z zasadzki zastawionej, a przynajmniej z taktem człowieka, który w każdym położeniu radę sobie dać umie.

Pan Onufry nawet uznał właściwem zmienić zaraz rozmowę i nie prześladować już gościa, w którym domyślał się tłumionego gniewu.

Sama pani, daleko mściwsza, przez cały wieczór, rozmaitymi dwuznacznikami dawała do zrozumienia iż jej nie wywiódł w pole. Zmieniła ton względem hrabiego, trochę z góry nań spoglądała, nie obdarzając już temi wejzrzeniami aksamitnymi, które wprzódy miały upajać go i rozmarzać.

Hrabia, który tego wieczora musiał być i wesółym i dowcipnym, niezmiernie zmęczony, zły, gniewny, ale nadskakujący, ożywiony, pożegnał gospodarstwo oboje oznajmując, że zmuszony jest dodnia wyjechać.

Pan Onufry przez grzeczność chciał go zaprosić na śniadanie i począł już nawet, ale żona wzrokiem go skarciła — a hrabia — zapewnił że miał pilne interesa.

Po wyjściu hrabiego, Lucia wróciła do matki, siadła przy jej łóżku, sparała się na rękę i płakała. Dawniej nie przychodziły jej lzy łatwo, nie miała ich w cierpieniu, teraz nieustanne troski, praca, znękanie, uczyniły ją łzawą i rozdrażnioną. Zdawało się że natura sama ochoiła jej ulgę przynieść niemi. Za wielkie też brzemie spadło na słabą istotę, a wypadki wyrwały ją z tej sfery poezyi i sztuki, w której tak dobrze i swojsko jej było, na padły prozaicznej nędzy i twardej rzeczywistości. Nikt może lepiej nad nią nie czuł prawdy stosunkowej tego aksjomatu, który powtórzył pan Onufry, mówiąc o wychowaniu proletaryatu.

Gdyby pani podkomorzyna nie dała jej wychowania i kształcenia, które ją na daleko wyższe od rodziców stanowisko podniosły, Lucia byłaby daleko mniej cierpiała, lepiejby się i łatwiej do okoliczności zastosować umiała, ojciec mniejby ją raził i smucił swym nałogiem i dziwactwem, matką zrozumiałaby ją lepiej.

Między temi prostemi ludźmi, których myśli obracały się w ciasnem kółku powszedniego życia, a nią, co oprócz chleba potrzebowała poezyi, sztuki, ideałów, nie było tego związku jaki powinien wiązać rodzinę. Kochała matkę i ojca, lecz aż nadto często słowo z ich ust udręczało ją dźwiękiem fałszywym, upokarzało nie starząc ani jej myśli ni czuciu. Tak samo oni nie rozumieli jej, nie mogli pojąć, nie tłumaczyli sobie w zapale rzuconego wyrazu, gorzyli niem czasami. Obcą im była choć swoją.

Jakby płacąc za to że się od nich duchem lećąc wyżej oderwać musiała, Lucia gotową była zawsze poświęcić się dla nich cała. Rzuciła świetnie rozpoczętą karierę, która choć mało dotąd jej dała lecz obiecywała wiele, aby siostrą miłosirdzia i służą być przy chorej matce i ojcu.

Nie ciążyło jej poświęcenie. Nawykła do wygodniejszego życia, zносиła nędzę z obojętnością młodości. Ale ta atmosfera duszna w której żyła, ten brak żywiołu, który dla niej się stał potrzebą, dawały się jej uczuć mimowoli. Śniła się jej muzyka, budziła się nią rozgorączkowana.

Niekiedy przez noc całą brzmiało jej Schumanowskie „Warum?“ jak natrętny komar brzęcący w uchu, którego się pozbyć nie można. Obawiała się oszaleć, potrzebowała całej mocy ducha, aby odpędzić mary, napadające ją w chwilach ciszy i samotności. Nie miała do kogo przemówić słowa, śpiew u łóża chorej byłby świętokradztwem, muzyka stała się niepodobieństwem. Jedyną pociechą było, gdy wyrwawszy się do parafialnego kościółka na nabożeństwo, mogła po mszy dotknąć organu, który zazdrośny organista nie bardzo chętnie jej otwierał.. Naówczas z oczów jej strumieniem się lały łzy, wypowiadała całą duszę tą muzyką, jak wyplakiwała cierpienie. Czuła się potem lżejszą, jakby melodia uniosła ku niebiosom wszystkich jej smutek, przytłoczony długim milczeniem.

Nałóg muzyki jest tak silnym jak inne ludzkie nawyki, staje się ona potrzebą, językiem, wrotami przez które odpływają wezbrane fale uczucia.

Aniela bywała jej całymi tygodniami pozbawioną, a nie mogła przyznać się nawet do tego że jej zbrakło tego głosu duszy. Ojciec by jej, ani matka nie zrozumieli. Gdy czasem wśród ciszy, przez park doleciały dźwięki fortepianu, na którym niegodziwie grała miss Jenny, a nie lepiej pani Idalia, dreszcz przechodził po niej, wsłuchiwała się w tą profanację i—znowu płakała. Niekiedy niecierpliwio ją to i uciekała.

Tego dnia już nie muzyka, ani jej brak łzy wywołał. Drżała jeszcze pod wrażeniem rozmowy z panem hrabią.

Rozpaczliwe położenie zmusiło ją do rozpaczliwego kroku, rzuciła samą siebie na łup losowi co ich prześladował. Użyć matce, osłodzić jej dni ostatnie, choćby ofiarą życia — zdawało się jej obowiązkiem. Pod wrażeniem boleści, niemal się zdała na łaskę człowieka, do którego wstręt ozuła i obrzydzenie.

Hrabia, który w salonie i życiu salonowem miał wszystkie wymagane przymioty i był jednym z najpiękniejszych okazów człowieka ogładzonego i sztucznie i artystycznie na istotę ocozą i zimną wyrobionego — dla Luci przedstawiał antytezę tego co było jej ideałem.

Tej muzyki, której był niby największym miłośnikiem, ani rozumiał, ani umiał, ani odozuwał. Mógł mówić o niej pożyczanemi słowy, mógł się unosić gdy mu to było do twarzy i do czegoś potrzebą — ale podnieść się do niej i umiłować nie umiał. Nic w nim nie ozuła szczerego, a pod tą świecą powłoką, razila ją bezdusność, egoizm, próżność.

Instynktem przenikała go, jak się odgaduje nieprzyjaciela.

Hrabia w czasie tych tryumfów wirtuozki, które chwilowo uczyniły ją modną i głośną, rozkochał się w niej po swojemu. Zdawało mu się że artystka, o której pochodzeniu skromnem nader wiedziano, mogła się łatwo dać ująć formom arystokratycznej miłości i unieść w sfery, w których się o surowych życia warunkach zapomina.

Podobała mu się jako kobieta, jako świeży kwiatek, pochlebiałoby mu było zostać jej znanym, wytykanym adoratorem. Gotów był nawet coś poświęcić dla tej przyjemności.

W tych myślach, których połowę temperament i krew a drugą miłość własna rodziła, rozpoczął hrabia nadskaki-

wania, nie zrazł się chłodem, a sam dosyć zimno i z obra-
chunkiem przystępując do odegrywania passyi, nie spo-
strzegł się gdy się stał jej niewolnikiem. Wdzięk niewie-
ści, młodość, naostatek pewna oryginalność i śmiałość w o-
bejściu, podziały nań bezwiednie. Przywiązał się, nie
mógł zapomnieć, odepchnięty uparł się zdobyć jeśli nie
serce, to kobietę samą. Miłość własna podzęgała namię-
tność.

Gdy panna Aniela znikła nagle z horyzontu, na któ-
rym błysnęła jasną gwiazdą króciuchno, hrabia nie mógł
się powstrzymać by nie śledzić, nie dowiadywać się co się
z nią stało. Naostatek pogonił za nią.

Zjawienie się jego zdziwiło, przestraszyło i rozgnie-
wało Lucię, potem natchnęło ją tą rozpaczliwą myślą rato-
wania się ofiarą siebie samej. W pierwszej chwili nie roz-
myśliła się nad tem co uczyniła, taraz dopiero postać gro-
źna ojca, twarz brata, który ją kochał i uwielbiał, stawały
przed nią straszne, wyrzucając jej płochą porywczosć i nie-
rozważę...

Nie uszło jej oka że hrabia, chociaż chwycony za sło-
wo, zdawał się gotów wziąć na siebie ciężar całej rodziny,
był tem więcej zakłopotany niż szczęśliwy i wycofawszy
się raz, mógł nie powrócić więcej — to ją nieco uspokai-
jało.

Tegoż dnia o zmierzchu zjawił się drugi gość, pan pi-
sarz Więckowski, tym razem przybywający bez huku
i krzyku, odchrząknął tylko mocno i kaszlnął w sieniach
aby go ktoś usłyszał, i stary Zarzecki z różańcem się zja-
wił. Zobaczywszy pisarza, stał niemy, oczekując co po-
wie.

— Dobry wieczór panu,— rzekł kłaniając się poseł—
mam słóweczko.

— To proszę do izby,— odpowiedział wahając się nieco stary,— ale u mnie ciasno, chodźmy tam — i wskazał ów pokój opuszczony, który prowadził do zajmowanego przez Lucję. Tu wszedłszy Zarzecki zamknął drzwi od izdebki córki i — gotował się do słuchania co mu przyniesiono.

— No, cóż tam?— spytał.

— To już panu wiadomo,— rzekł cichuteńko pisarz, sondowałem we dworze... Hm! nabyliby może dożywocie, gdyby nie było nazbyt drogiem.

— A po cóż ja się go mam tanio pozbywać! — odezwał się stary, na co mi się to zdało.

— Więc cóż pan by wziąć myślał?

Na zapytanie to pan Jakób nie odpowiedział zaraz, westchnął, popatrzył w okno, lży mu zwilżyły oczy.

— Al żebyś to acan wiedział,— rzekł— co to jest opuścić miejsce w którym się od młodości żyło, a choćby i płakało! pełne wspomnień po mojej dobrodziejcel.. I to jak ja staremu, ciężkiemu! ale co robić— co robić.

Pomyślał zwiesiwszy głowę.

— Choć mi ci ludzie za skórę zaleli,— dołożył— i ich bym ukrzywdzić nie chciał. Wiem że im tu załogą, że pozbyć by się mnie chcieli— a nie będę z tego korzystał.

Miał mówić już, zatrzymał się— niepewnym był, nie chciał zawiele, bał się powiedzieć za mało. Ostatnie słowo wyrzec kosztowało go. Rachował coś, stękał, przecha-dzał się, przeżegnał, spojrzął na Ukrzyżowanego, którego wizerunek stał na komodzie, jakby w nim szukał pomocy i natchnienia.

— Bóg widzi, — rzekł w końcu,— nie jestem łakomy, tysiąc rubli mi dadzą gotówką— ustąpię.

Pisarz głową poruszył.

— Nie moja to rzecz,—odezwał się—targować—ale niech pan sam zważa. To jest dożywocie. Daj Boże panu jak najdłuższe życie, wszelako średnio trzeba rachować, pan już pewnie pod sześćdziesiąt?..

Stary pokiwał głową.

— Oni pewno nad lat dziesięć nie będą liczyli,—rzekł pisarz—a rocznie co to warto? Może trzydzieści rubli! pewno nie więcej! Jeżeli trzysta rubli zaofiarują to dobrze...

Zarzecki słu chał jakby nie rozumiał, znać było że cały ten targ, sprawa i ustąpienie z dworku były mu nad wyraz przykre. Nie miał siły sprzezoać się z Więckowskim.

— Ja państwu jak najlepiej życzę,—kończył pisarz — ale ja w tem nic nie stanowią.

Można było posądzić starego że tylko z musu w targ wchodził i chciał więcej uspokoić sumienie, niż dobić go, poruszył ramionami, jakby mu to było obojętnem...

— Nie, nie,—rzekł—od tysiąca i to gotówką nie odstąpię.

Więckowski się obejrzał ostróżnie czy kto nie słu cha.

— A i to pewno, proszę pana,—szepnął,—że—tysiąc rubli w kasie u nas nie ma i nieprędko będzie.

— Cóż mnie do tego!—mruknął Zarzecki.

— U nas pieniądze jak się tylko okażą, pani sobie, pan sobie, a rządca sobie, rozrywają na wszystkie strony! Tysiąc rubli to okrągła sumka.

Nie poruszyło to starego, który się zdawał myśleć o czem innem.

— Pan od tego nie spuści?—zapytał pisarz?

— Nie mogę, nie miałbym za co rąk zaczepić—westchnął Zarzecki. Wpadłbym z deszczu pod rynnę.

Stali tak jakiś czas milczący. Zarzecki różaniec przebierał machinalnie, Więkowski węża kręcił.

— Jeszcze gdyby na skrypt—odezwał się Więkowski, badając.

— Póki życia!—zawołał stary,—w żadne z niemi papierki się wdawać nie myślę.

Znowu pomyśleli chwilę; Więkowski się przypatrywał fizyognomii starego, która nic nie mówiła, oprócz że w niej tkwił smutek i niepokój. Widząc że dłużej rozprawić nie na wiele by się przydało, Więkowski czapką swą potrząsł oznajmując że chce odejść.

Zarzecki się nie poruszył.

— Więc—dobranoc.

— A, dobranoc,—odparł zimno pan Jakób.—Kłaniam uniżenie.

Z dworuku, przez którego się pustą i milczącą przeszedł powolnym krokiem Więkowski, skierował się tą samą drogą, którą niedawno przesunął się hrabia i furtką dostał do parku. Spodziewał się zapewne, znając upodobanie panny Barbary w orzechach, które gryzła po całych dniach, że ją może znajdzie w leszczynowej ulicy. Tu było pusto i łupinki tylko porozrzucane tu i owdzie świadczyły że faworyta niedawno odbywała przechadzkę. Skierował się więc pisarz do jej mieszkania.

Na widok wchodzącego, panna Drobisz żwawo ku niemu się zbliżyła.

— A cóż?—spytała.

— E! ja już nie wiem czy z temi ludźmi zrobić co będzie można!

— Dla czego?

— Chcieliby państwa obedrzeć, nie wiedzieć ile żądał—odezwał się Więckowski.

— Przecież?—spytała panna.

— Gadają o tysiącu rubli.

— Fiul fiul!—odparła faworyta. Czego im się zachciewa. A kto wie czy i bez tego się ich nie uda wykurzyć. Panna sobie przyjmuje kawalerów we dworku, toć to zgroza i zgorzenie. Hrabia co tu niby z wizytą przyjechał, chodził do niej. Jak Boga kocham! Stary się zapija i kiedyś ognia może zapuścić. Jak się udadzą do sądu, że tu we dworku takie rzeczy się dzieją, to im mogą kazać precz iść.

Więckowski patrzył stąpając z nogi na nogę.

— Ale gdzież zaś żeby tam hrabia chodził! — bąknął.

— Kiedym ja na moje oczy widziała!—ofuknęła panna Drobisz, i pół godziny tam siedział...

— A któż może wiedzieć u kogo!

— Ot to dobry! — krzyknęła zniecierpliwiona panna Barbara—cóż miał ze starym się wdawać w gawędę, co ma wiecznie głowę zalaną!

Poczęła panna Drobisz rozpytywać o inne tajemnice dworu, a mianowicie o rządę, na którego postępowanie pilne miała oko.

Gdy się wreszcie plotek przebrało, a Więckowski miał już odchodzić, dorzucił jeszcze.

— Zapomniałem powiedzieć, że ani się chce stary targować, i, mówi że tylko na gotówkę, a skryptu żadnego nie chce znać.

Oburzyło to niezmiernie pannę Barbarę, która nie załowała wyrazów na okazanie swej niechęci dla hołoty.

Nazajutrz rano, po odjeździe bardzo przyspieszonym hrabiego, znowu w godzinie tej samej, panna Drobisz we-

szła do pokoju pana Onufrego, tym razem zajętego szozotkami do włosów i trefieniem a układaniem resztek zarostu, na trochę wyłysiałej głowie.

Porzucił natychmiast szozotki i zbliżył się uśmiechając do panny Barbary...

— Czy już co jest?—spytał.

— Przynoszę wprawdzie jakąś odpowiedź,—ale bezwstydną—odezwała się panna Drobisz. Im się widać здаje że mogą państwa obedrzeć. Nie chcą ani słyszeć inaczej tylko tysiąc dwieście rubli i to, jak lodu, na stół.

Mina którą zrobił pan Onufry, świadczyła o znaczeniu tej sumy dla niego.

Tysiąc dwieście rubli ze tą budę! i to jeszcze za dożywocie!—zawołał. To nie ma sensu!

Prychając zaczął się przechadzać po pokoju, i powtarzał oicho:

— Tysiąc dwieście! tysiąc dwieście!

Wiesz co? — odparł zwracając się do panny Barbary śledzącej go oczyma. Ja, jabym im dał ohoóby i tyle, raz-bym się pozbył; ale zkad dziś wziąć tyle pieniędzy... Idalka oddawna potrzebuje tysiąca dukatów, ja mam długi i konieczne wydatki, a rządca nie umie z niczego dobyć grosza.

— El bo pan tego rządcę trzyma! ruszając ramionami, szepnęła panna Drobisz. Ani z pierza ani z mięsa, nie ma z niego nic!..

— A innego szukać, gdy temu się tam coś należy i zaraz się upomni — rzekł Onufry. Ja takich czasów jak terazniejsze nie pamiętam. Bywało ciężko, ale przecież grosz czasem się widziało, a teraz...

Strzepnął pięknemi rękami—potem posmutniawszy

zasiadł do zwierciadła i począł miękka szczołką wygładzać włosy, przechylając głowę w lewo i prawo.

Panna Barbara patrzała nań prawie protekoyonalnie i z litością.

— A gdyby, proszę pana, znalazło się gdzie do pożyczania tych nieszczęśliwych tysiąc dwieście rubli?—zapytała.

— Wiesz, kochana panno Barbaro, że ja dla Idzi nie nigdy nie żałuję.

— A toby pani nadzwyczajną zrobiło przyjemność,—wtrąciła Basia.

— Ale zkąd pieniędzy? zkąd pieniędzy!—westchnął Onufry.

Basia oparła się o stolik, bo jej z tem było wygodniej.

— Mnie się zdaje—odezwała się, że gdyby pan sam z grzeczną wizytą pojechał do Bendrzyńskiego.

Onufry się obejrzał żywo.

— Tak!—potwierdziła panna—Bendrzyński ma pieniądze leżące. Rządoy nie da, na list odmówi, ale grzeszność mu zrobiwszy zmiękłby.

Pokiwał głową pan Onufry zajęty zaczesywaniem.

Korona mi z głowy nie spadnie,—rzekł—ale to był przyjaciel podkomorzynej, tak skąpy jak ona, i tak jak ona nieużyty, nie mamy prawie ze sobą stosunków. Myślisz?

— Myślę że nie odmówiłby, gdyby go pan ujął przyjacielskiem obejściem się—szeptała panna. — Skąpy to prawda, ale i ambicyi ma dużo, a lubi aby go szanowano.

— Ha! chyba dla tych nieszczęsnych pieniędzy, na nudy do starego można się ryzykować, ale co na to powie Idzia, gdy się dowie że do niego pojechałem.

— Ja panią uprzedzę,—odezwała się Basia, że pan dla dowiedzenia się o tych kapitałach nieboszczki chce być u niego. Przecież Bendrzyński przed samą jeszcze śmiercią był u niej i znał najlepiej jej interesa.

— To prawda! — rzekł Onufry, ale ja z niego nigdy nie oprócz ogólników jakichś dobyć nie mogłem.

— Niech no się pan rozgada!

Onufry, któremu nadewszystko było pilnej powrócić do ubierania, dał znak że przyjmuje myśl faworyty, która natychmiast odeszła.

Bendrzyński, o którym mowa, mieszkał o półtorej mili od Żabiego, ale, choć sąsiedztwo było blizkie, po śmierci podkomorzynej, rzadko go tu widywano. Człowiek był znany z chciwości i skąpstwa, stary już, choć wiek mu statku nie dodał, wdowiec, który synów po świecie rozproszył, córkę wydał aby się jej zbyć, a sam w towarzystwie nieosobliwszem rozmaitych klucznic i gospodyń, często się zmieniających, pieniądze zbierał zażarcie. Mało kto bywał u niego; każdy z nim unikał interesu. Opuszczony prawie przez wszystkich, czując że na jego postępowaniu z dziećmi ciążyą zarzuty wielkie, stary na świat cały pluł i narzekał, dzieci własne obwinał i zgryźliwy żywot prowadził nie chcąc go zmienić, choć widział że nań ściąga pogardę.

Nieźle rachowała panna Barbara że odwiedziny pana Onufrego, osamotnionego człowieka ująć mogły i pochlebić mu. Bendrzyński, opinię brawując, dbał jednak o nią i radby był na stare lata odzyskać konsyderacyę, na którą nie zasłużył.

Dla pana Onufrego, nawykłego żyć, jeśli nie w lepszym to przyzwoitszym świecie, wizyta oddana Bendrzyńskiemu, była prawdziwą ofiarą. Lecz, nadzieja dostania

pieniędzy, o które było tak trudno, a może dowiedzenia się czegoś o owych mytycznych skarbach podkomorzyniej, skłaniała do tego kroku.

Gdy się z żoną spotkał w salonie, piękna Idzia, już uwiadomiona o projekcie, zagadnęła zaraz męża.

— Basia mi mówiła że się wybierasz do Bendrzyńskiego?

— Możebym się coś dowiedział od niego?—rzekł obojętnie Onufry.

— Zapewne, probować zawsze potrzeba,—potwierdziła pani Idalia, nie zapomnij tylko wziąć wódki kolońskiej.

Wzdrygnęła się na wspomnienie Bendrzyńskiego. W istocie nieponętay był. Bardzo słusznego wzrostu, silny, osiwiały już, lica nieco czerwonego, jak ci w których krew czemkolwiek bądź podżegana żywiej pędzi, Bendrzyński nosił się ze staroświecka, dosyć niepocześnie i brudno. Jedzenie, napój i odzież otaczały go atmosferą wyziewów dla delikatnego zmysłu powonienia nieznośną.

Po wypoczynku krótkim, gdy konie przed gankiem się ukazały, pan Onufry westchnął ciężko, zapalił cygaro i ruszył.

Bendrzyński w majątku, który był kupił już przed kikutem laty po księciu P. wziął w spadku stary pałacyk, niegdyś bardzo wspaniale urządzone. Był on dla niego ciężarem i w początku chciał go zrzucić koniecznie, ale obrachowawszy co miało kosztować obalenie i budowanie lichego dworu, musiał pozostać w starym gmachu, wcale do jego obyczajów nieprzystającym, na który ciągle narzekał.

Pałacyk też teraz wyglądał jakby wcale zamieszkanym nie był. Popsuty dach pokryto słomą, poopadałe mu-

ry nietknięte, okryte były plamami, okna dla ciepła pozmnieszane, w części tarcioami zostały zabite; drzwi, gdzie ich brakło, zastąpiono z opólków pozbijanemi furtkami. We wnętrzu co się tylko wydrzeć dało, sprzedano, reszta zaniedbana, zbrukana, cierpianą była i nowemi przeróbkami zepsuta.

Od czasu jak się ludzie od Bendrzyńskiego coraz bardziej usuwać zaczęli, prowadził życie samotne i opuścił się zupełnie. Gdy pan Onufry do wrót między starymi dwoma słupami murowanemi zawieszonych przybył, ledwie parobcy ze stajni nadbiegający potrafili mu je otworzyć. Około pałacyku zrobił się jakiś ruch nadzwyczajny, bosa dzieci w koszulach zaczęły wybiegać i chować się, kilka głów niewieścich wyjrzało i znikło, chłopaki w siermiężkach przemykali się i wpadali do drzwi, widać było że do gości ludzie byli nienawykli. W chwili gdy koczyk p. Onufrego stanął u ganku, między którego kolumnami z tarcio budą nieforemnie była sklecona, z głębi domu wyszedł szybko gospodarz, z głową rozczochraną, w płóciennem ubraniu i prostych butach, ledwie kapotę na siebie narzuciwszy. Powiedziano mu o gościu i sam biegł się przekonać o nim, bo nie umiał się domyśleć, ktoby chciał go jeszcze odwiedzać. Na widok pana Onufrego osłupiał niemal i z wybuchem niezmiernej wdzięczności, począł mu się kłaniać, zmieszany. Sam nie wiedząc dokąd tak dostojnego gościa zapraszać.

Był wprawdzie pokój niby bawialny, lecz zdawna tak opuszczoney, iż Bendrzyńskiemu go teraz wstyd było wobec słynącego z elegancyi Manczyńskiego.

— Niechże mi, najłaskawszy sąsiad daruj! — zawołał, składając ręce. Bóg widzi że ja biedny pustelnik, nie wiem gdzie mojego dobrodzieja posadzę — bo to u mnie, samotnika, rozgardyasz tak!

— Ale wszędzie nam będzie dobrze! — rzekł grzecznie pan Onufry. Dawno zbierałem się, szanownego sąsiada odwiedzić, a zawszem się obawiał zrobić mu subjekcyę, bo wiem że pan dobrodziej gości nie lubi!

— Panie, takich jak dzisiejszy, niech się na kamieniu rodzą! — wrzawliwie zawołał, lubiący głośno krzyceć Bendrzyński. — Ale panowie toście do wygod i elegancyi nawykli, a ja chudy pacholek!

— O! o! zaprotestował Onufry.

Rozmowa ta odbywała się w progu sieni zarzuconej gratami, w której oprócz innych sprzętów, kilka tylko co porzuconych kądzieli przątek widać było, przez otwarte drzwi pięknego niegdyś salonu wyglądał warsztat tkacki. Zapach cebuli, zgrzebnego płótna, butów prostych, wódki, chleba razowego i wyziewów pracowitego ludu, powietrze zapełniał.

Gospodarz prowadził zwolna, jeszcze się namyślając dokąd.

— U mnie tu taki gospodarski nieład, że jak Boga kocham....

— Niechże pan nie robi ceremonii, — rzekł pan Onufry.

Po wahaniu się jeszcze chwilkę, otworzył drzwi Bendrzyński i wprowadził do bawialni.

Zachowała ona z dawnych czasów gzemsiki i złożone sznury, jedno potłuczone zwierciadło i komin marmurowy, zamurowany ceglami. W miejscu jego postawiono piec prosty lepiony, któremu drzwiczek brakło. Smuga czarna świadczyła że dymiło. Stół pochylony, kanapka wysiedziana okryta perkalikiem podartym, kilka krzeseł i parę prostych stołków z serduszkami w desce, stanowiącej oparcie, ławka pod oknem, na której leżała zapomniana chustka

kobieca, komoda zarzucona rupieciami i papierami, ubierały ten najprzyzwoitszy z pokojów.

Z kilkorga drzwi wychodzących w różne strony, jedne były jeszcze dawne ze śladami lakieru i złota, drugie nowe i nawet niepomalowane, ostatnie wpoprzek założone deskami. Butelek, talerzy, skorup było wszędzie pełno. Gdy wchodzili, ogromny kot wpadł pod nogi panu Onufremu, wysliznął się i skoczył na ławę, gdzie się na kobiecej chustce położył. I tu powietrze było nie do oddychania, chyba dla piersi, co już do niego nawykły. Na jednym z okien stojące gąsiory z różnobarwnymi nalewkami, świadczyły że bawialny pokój zarazem służył za apteczkę. Była w nim i szafa w kącie w tej chwili niedomknięta.

Gospodarz połą od kapoty otarłszy najlepsze krzesło podał je panu Onufremu i posadził go, sam za stołek chwytając. Na twarzy jego widać było radość, zakłopotanie, gorączkę jakąś, która temperamentu w starcu jeszcze nieukołysanego dowodziła.

— Z duszy i serca panu dobrodziejowi jestem wdzięczny, żeś mnie sobie raczył przypomnieć,—rzekł Bendrzyński. Miałem to szczerście zem się łaską i zaufaniem nieboszeczki podkomorzynej zaszczycał.

— Radbym żebyś, szanowny sąsiad, oczęść przyjaźni, jaką dla niej miałeś, zlał na wnuka,—mówił sadząc się na grzeczność Onufry.

Bendrzyński ciągle trzymał przed nim jak do modlitwy złożone swe i brudne ręce.

— Mój mości dobrodzieju!—wołał, sługą jego być pragnę!

Więc rozpoczęła się rozmowa gospodarska, choć Manczyński o swem gospodarstwie i o tem co się w niem działo,

wyobrażenia nie miał. Zręcznym przejściem naprowadził ją znowu na nieboszczkę.

— Waćpan dobrodziej, który byłeś jej przyjacielem, rzekł pan Onufry,—mógłbyś jeden może objaśnić ten niepojęty dla całego świata fakt zniknięcia jej kapitałów!

Bendrzyński głowę pochylił pokornie.

— Bo, że były....

— To nie ulega wątpliwości,—odezwał się gospodarz. Dawniej na lat jakie pięć, sześć, przed śmiercią, nieboszczka sama mi o tem mówiła iż radaby je umieścić gdzieś na hypotekach.

— A po śmierci wiadomo panu ile się znalazło.

— Tak, to niepojęta rzecz,—odezwał się Bendrzyński poufnie, a jednak, jednak, coś się tu domyślać można. Nieboszczka drżała na samą myśl że to co ona zbierała tak skrzętnie rozproszyć się może...

— Cóż mogła z tem zrobić?

— Bóg to wie—i—dodał gospodarz, i—jeden może tylko człowiek.

— Któż?

— A—Zarzecki, — mówił Bendrzyński,—któżby inny. U niego za życia nieboszczki było wszystko, pieniądze, klucze, rejestra, kwity. Jemu jednemu tak wierzyła, że rachuków go słuchać nie chciała—nie może być aby on o tem nie wiedział, co się z kapitałami stało...

— Ależ go brano, więziono, trzymano, badano,—rzekł pan Onufry, i niceśmy z niego dobyć nie mogli.

— Ha! — bąknął Bedrzyński,—bo trzeba tego człowieka znać. Jeżeli dał słowo że nie powie, to się da zabić a nie piśnie.

— Przywłaszczyć też nie mógł, bo w nędzy jest ostatniej,—dodał pan Onufry.

Bendrzyński zamilkł.

— Wszelako,—dodał poczekawszy nieco, radzę go nie spuszczać z oka.

— Przyznam się waópanu dobrodziejowi,—odezwał się gość,—iż tak mi widok tego nieprzyjaciela pod samym bokiem dokuczył, żebym się chciał go zbyć jakimkolwiek kosztem. Jakkolwiek czasy są ciężkie, gotówbym spłacić mu dożywocie, ale pieniędzy nie mam.

Usłyszawszy to, Bendrzyński rzucił okiem niespokojnem na mówiącego i wyprostował się.

— Kto to dziś ma pieniądze!—westchnął. Jam też goły jak święty turecki. A gdybyś mnie raczył posłuchać, jabym nie radził pozbywać się go z gruntu...

— Tyle lat nic się nie okazało!—cicho dołożył pan Onufry.

Bendrzyński począł kaszlać i nos ucierać, chciał zyskać na czasie.

— Przed samą śmiercią pani podkomorzynnej, na dni parę, byłem u niej,—rzekł po namyśle —leżała już w łóżku a, Panie Boże odpuść, wziął by ją kto, nie znając, za najuboższą kobietę. Kołdra jeszcze może ślubna z której wyłaziła wata, poduszczyna zbrukana, głowa chustką prostą związaną, pawilon w strzępkach. — Słowem nędza ją otaczała. Była jakby w gorączce, właśnie podobno tego dnia rejestra i papiery wszystkie palić kazała. Co chwila Zarzeckiego wołano, od którego strach jak wódkę słychać było. Szepotała mu coś na ucho, odprawiała, posyłała po niego znowu, niepokoiła się.

Właśnie miałem wówczas kupować Porzeczce, potrzeba mi było parę tysięcy dukatów, insynuowałem jej to, że skrypt dam oblatowany i osiem procentów... Odwróciła ku mnie głowę staruszka i pokiwała nią. Zkąd ty chcesz

żebym ja pieniądze wzięła,—rzekła—nie mam już nic—nic.
Wszystko poszło!

Rozpostarła ręce.—Fiut nie ma!

— Gdzież? jak?—zapytałem.

— Ot, to ciekawy jesteś,—rzekła żartobliwie.—
Wszyscy dziś tracą, albo to ja nie miałabym prawa mojej
krwawicy przeszastać? Poszła już, poszła.

— Więc cóż? chyba ją zakopać kazała,—przerwał pan
Onufry.

— A, i za to nie ręczę,—rzekł Bendrzyński, ale jeżeli
kto zakopywał to chyba Zarzecki.

— Przecieżby dziś taki cierpiąc niedostatek...

Nie dał dokończyć mówiacemu gospodarz.

— Otóż, ja powiem mojemu dobrodziejowi,—rzekł—
ja znam Zarzeckiego z dawnej daty—to człowiek co umarze
na worku a nie ruszy go. To pewna.

Odetchnął nieco.

— I to się źle pono stało,—dodał,—że państwoście na
razie do niego się ostro wzięli. Lepiej było ugłaskać,
przyhołubić, pociągnąć i starać się go sobie pozyskać.

— Mam wstręt do tego człowieka,—rzekł pan Onufry.
Zwyciężyć go nie mogę.

— Jednak, gdyby się z nim inaczej jakoś wzięło, kto
wie? kto wie?

— Dziś, to po czasiel—mruknął gość—wolałbym się
go pozbyć, co nie przeszkadza że na oku bym trzymał. Idzie
mi tylko o pieniądze.

Na to powtórne zagadnięcie, gospodarz zmilczał, po-
dniósł się ze stołka i zagadnął.

— Czemże bym mógł służyć? może wina kieliszek?

Pan Onufry chciał już mu odpowiedzieć że najlepiej-
by mu pieniędzmi usłużył, lecz widocznem było że tego

Bendrzyński słuchać nie miał ochoty. Skłonił się grzecznie. Stary wyszedł sam po wino.

Z oiekawością człowieka który nigdy zblizka nie podobnego nie oglądał, pan Onufry rozpatrywał się w mieszkaniu, gdy drzwi uchyliwszy, opasła średnich lat kobieta w koszuli, wtargnęła do izby, porwała chustkę na której kot leżał, zrzuciła go z niej i znikła, okiem oiekawem zmierzwszy siedzącego.

Po chwili Bendrzyński powrócił, a za nim chłopak bosy wniósł na tacce czarnej, dwa wątpliwej czystości kieliszki, jeden na nodze, drugi bez niej i butelczynę opyloną.

Wino miało być prastare, znalezione w piwnicy ks. P. po którym kupiony był majątek. W istocie złe nie było, ale zdębiałe i ostre, tak że Onufry ledwie go mógł dopić, tłumacząc się że wina mało pić może. Bendrzyński też bardzo nie zapraszał.

— Mnie się zdaje, — wznawiając rozmowę, odezwał się pan Onufry, że, sam ów Zarzecki kapitałów tych skryć nie mógł. Jest to zupełnem niepodobieństwem, wiedzieć o nich może, jednak są i inni współnicy co się do wyrwania ich naturalnym spadkobiercom przyczynili. — Ale nie wiemy prawdziwie, nawet na kogo zwrócić podejrzenia.

Kręcił głową pan Onufry. Starąłem się o ile możności zasłużyć na jej łaski i zaufanie, ale zarówno mnie jak nieboszczyka ojca, nie lubiła...

— Tego acan dobrodziei nie mów, — przerwał Bendrzyński, — słyszałem ją wielokroć mówiącą z wielkim afektem o familii, ale jej się nikt przypodobać nie mógł, kto jak ona nie skąpił. Na ustach miała jedno: Wszyscy tracą pójdzie naród z torbami. Jedni żydzi zbierać umieją i oni świat opanują.

Onufry spuścił oczy!

— Są pewne położenia na świecie, — dodał, które wkładają obowiązki, niepodobna się wyłamać.

Umilkli. Bendrzyński wypił dla rozmaitości zdrowie dostojnego sąsiada swego, ten dziękował.

Po małej pauzie nie było już ani co mówić, ani co robić, gdy otwarcie oświadczył stary że goły był jak święty, turecki; p. Onufry miał się więc do wyjazdu, rad niezmiernie że się wydobędzie z brudnej dziury, która w nim niewypowiedziany wstręt obudzała. Z unізonością niezmierną począł go wyprowadzać gospodarz, dziękując za zaszczyt, nie żałując słów wymówionych na odmalowanie szczęścia tego i honoru jaki go spotkał. Jednakże między przyjęciem a pożegnaniem był lekki odcień i różnica, Bendrzyński czuł że o pieniądze chodziło; widział się potrzebnym i zapewne rozmyślał jak ma z tego skorzystać. Już byli na progu gdy stanął i rozprostował się.

— Coś szanowny sąsiad dobrodziej, napomknął o pieniądzach — rzekł, ja sam, rzeoczywiście, tak mi Boże dopomóż, nie jestem przy nich. Dzieci mnie niewdzięczne wysysają, ale możebym mógł pożyczkę ułatwić?

Pan Onufry na samo wspomnienie rozpromieniony już był.

— Nieskończoną miałbym wdzięczność! — zawołał.

— Wiele potrzeba?

— Dwa, półtora tysiąca rubli, — rzekł przybyły, który próbował czy mu się coś dla siebie przy tej zrzęczości nie da zyskać.

Zadumał się Bendrzyński.

— Tylko że to z tymi lichwiarzami do czynienia mieć! — szepnął.

— Na krótki czas!

— Jeżeli za dwa na miesiąc dostanę, to jeszcze szczęście?—rzekł, spoglądając aby ocenić wrażenie jakie to uczyni.

— Dam z wielkiem ukontentowaniem,—odparł pan Onufry, który nigdy się o warunki nie targował gdy mu pieniędzy potrzeba było. Cóż ro bić, nóż na gardle.

— Więc—będę się starał, spróbuję,—wybąkał sąsiad. Weksel naturalnie.

— Jaki tylko zechcą!—pośpiesznie rzekł Onufry, jak tylko się sprzeda pszenica.

Mówiąc wyszli w ganek, ściskali się już i całowali.

— Przyjadę z wiadomością—zakończył stary, i będę się miał za szczęśliwego jeśli mi się uda, szanownemu panu wygodzić...

Tak na samem wyjeździe niespodzianie ucieszony, wesoło siadł do powozu pan Onufry, nućąc przy zapalaniu cygara. Bądź co bądź, pozbycie się Zarzeckich i siurpryza bardzo mu się uśmiechały, kilkaset rubli wpływało do kieszeni na bieżące wydatki. Przez myśl też przebiegło mu co mówił Bendrzyński o podkomorzynie. Potwierdzało się iż miała kapitały, o których już istnieniu wątpić zaczął, prędzej więc czy później odkryć się one musiały. Ufał w to pan Onufry i śmiało robił długi w przekonaniu że owe sumy neapolitańskie z łatwością je spłaca. Potrzebował tej nadziei dla śmielszego brnięcia w interesa, z których innego wyjścia nie było, nad odzyskanie skrytego spadku.

Rada sąsiada, aby ułagodzić Zarzeckich i starać się ich sobie pozyskać, śmiech mu wywoływała na usta. Przy-
milać się do tej hołoty, dla niego i żony było zupełnem niepodobieństwem. Rozumował zawsze że Zarzecki był tylko narzędziem a ktoś inny musiał być powiernikiem starszki...

Z tem też przybył do domu i pobiegł do żony, która na niego z okna zastukała aby się stawił natychmiast. Ucałowawszy piękne rączki rozpoczął naprzód humorystyczny opis rezydencyi szanownego sąsiada, poczem zdał sprawę z tego co mu on mówił i radził.

— Nie zdobyłem nic nowego, zamknął z westchnieniem,—co najwięcej potwierdzenie dawno mi znanych rzeczy. Bendrzyński jest przekonany o istnieniu kapitałów, ale o tem co się z niemi stać mogło, jak my, niema wyobrażenia.

Jedyną niedorzecznością, jaką od niego usłyszałem, była rada, ażebym tą hołotę starał się sobie pozyskać. My najlepiej wiemy, że to jest niepodobieństwem!..

Pani Idalia zrobiła minkę pogardliwą i kwaśną.

— Tego tylko brakło abyśmy przed niemi tańcowali! —szepnęła—ja na to upokorzenie nigdy w świecie nie pozwolę. Do wszystkiego cośmy o tych ludziach wiedzieli, przybywa jeszcze podejrzenie płochego postępowania wirtuożki! miła familijka! ojciec pijak i prawdopodobnie złodziej—córeczka zalotnica—matka podobno waryatka!..

— Jest jeszcze syn kończący edukację,—dorzucił pan Onufry, którego my znać nie mamy szczęścia, Sądzę że i ten musi być godnym rodziny.

Wzdrygnęła się piękna pani.

— Nie mówmy o nich, bo mi się na nudności zbiera!

Pan Onufry powrócił do opisu rezydencyi, a ohoć rzeczywistość sama przez się była dosyć jaskrawą, umiał ją uczynić tak malowniczą, że pani Idalia słuchając opowiadania ubawiła się serdecznie.

Panna Barbara Drobisz, która podsłuchiwała u drzwi

jak zwykle, bo musiała wiedzieć o wszystkim, złośliwy dowcip pana Onufrego równie ocenić umiała.

Zapowiedzianych odwiedzin pana Bendrzyńskiego oczekiwano zbrojąc się w wódkę kolońską.

W dworku owej nieszczęśliwej hołoty, wyraźnie z nędzą walczono. Zarzecki, jak przyrzekł córce tak nazajutrz zaraz zabrawszy zegarek i sygnet, pieszo poszedł z niemi do najbliższego miasteczka, aby je zastawić. Była to z jego strony ofiara wielka, rozstawał się z pamiątkami do których przyłgnęła miłość ludzi co mu je pozostawili, ale żona była chora, córka w rozpacz, głód w domu. Po drodze, brnąc zadumany piaszczystą ścieżką, napotkał chłopka jadącego z Żabia. Ten mu się pokłonił i przywił. Ostrego w spełnianiu swych obowiązków Zarzeckiego nie bardzo dawniej lubiono na wsi, chociaż był sprawiedliwym; teraz w porównaniu do nowych panów i ekonomów, pan Jakób zyskiwał. Wspominano o nim z westchnieniem. Chłopak widząc go zmęczonym sam na wóz zaprosił. Zarzecki więc mógł sobie oszczędzić trochę trudu. Radby był za to poczęstować wieśniaka, ale mu wyznał otwarcie że grosza przy duszy nie miał.

W rękę go pocałował właściciel fury, pokornie prosząc na kieliszek wódki, napili się razem. Zarzecki pił chętnie, a wódka do której nadto był przywykłym, pokrzepiała go. W lepszym trochę usposobieniu niż z domu wyszedł dostał się do miasteczka.

I tu nie zbywało mu na znajomych z dawnych lepszych czasów, gdy był totumfackim przy podkomorzynie. Należał do nich pan Izaak Lubliner, handlujący zbożem, który dawniej wszystko zakupywał u podkomorzynie, do

niego więc wprost udał się Zarzecki. Dawno się z nim nie widzieli, bo stary nie lubił ani zebrać, ani swej biedy na okaz wystawiać. Przez ten czas Lubliner urósł jeszcze, z bogacił się, a Jakób popadł w dotkliwy niedostatek. W tym człowieku z suknią wyszarzaną, zgiętym ku ziemi, zbiedzonym, trudno było poznać energicznego plenipotenta bogatej i skąpej pani.

Gdy się Zarzecki dostał do pana Izaaka, właśnie zajętego swą korespondencyą handlową, kupiec nie od razu w nim przypomniął sobie swego dawnego znajomego. Lecz że wiele słyszał o jago losach i poszanować umiał człowieka, którego znał z długich stosunków, powitał go uprzejmie, nie dając nawet czuć jaką w nim widział zmianę.

— Dawnośmy się nie widzieli,—rzekł zapraszając siedzieć.

— Tak, bardzo dawno—odparł z westchnieniem stary,—zmieniło się wiele, a mnie Bogu się podobało dotknąć; niech będzie i za to pochwalonym. Wiem że pan Lubliner zawsze zajęty, więc nie zabierając mu czasu, proszęczkę bym miał do niego.

— Cóż takiego? panie Zarzecki!—spytał kupiec.

— O tem pan wiesz że—nieboszeczka mi nic nie zostawiła, oprócz dachu nad głową, — mówił Jakób,—ale ona świeć nad jej duszą, wcale temu niewinna. Jestem w biedzie, a chwilowo i w potrzebie, choć mam nadzieję, wydobyć się z tego położenia. Muszę zastawić co mam najdroższego dla mnie, aby chorej żonie kupić lekarstwo...

Tu dobył starannie w papier pozawijane, zegarek i sygnet.

— Niech mi pan na to pożyczysz ile można—(staremu na widok tych pamiątek łzy w oczach stanęły.) Bóg widzi wykupię, bo to moje skarby jedyne.

Trzymał na drżącym ręku niewiele wartający zegarek, a mniej jeszcze kosztowny sygnet, na które Lubliner ledwie przez oiekawość okiem rzuoił.

— Na zastawy nie pożyczam,—odezwał się,—to nie moja rzecz, — ale panu służę ile chcesz. Mieliśmy z sobą stosunki, znam jego rzetelność, mów ile potrzebujesz, dam z chęcią.

Zarzecki tym dowodem zaufania mocno był dotknięty.

— Niech Bóg zapłaci za dobre serce,—odezwał się,—ale bez zastawu, panie Lubliner bałbym się zapożyczać, a nuż—nikt nie wie dnia ani godziny.

Kupiec obrócił w żart obawę starego, nalegał aby swe pamiątki sohował, i zapytawszy ile mu było potrzeba, wyliczył natychmiast pieniądze. Zarzecki wziął się do napisania rewersu i miał wielką ochotę człowieka co mu okazał współczucie uścisknąć.

Lubliner znając zdawna jego słabość do wódki, w dodatku kazał przynieść jej i poczęstował go. Rad był się rozgadać.

Po dwóch kieliszkach Jakóbowi się usta zwykle rozwiązywały, robił się pobożnym bardzo i otwartym, wzdychał do Boga ciągle i mówił wszystko co miał na sercu. Wyspowiadał się więc przed Lublinerem i z biedy i z ucisku i z projektu pozbycia się dożywocia, a osiedlania w miasteczku.

— Wiesz waćpan co, panie Zarzecki, to się składa doskonale, bo ja już przed kilku dniami miałem myśl pomówienia z nim w pewnym interesie.

Wiem że u was nazywa się to już ostatnim wypadkiem i hańbą — służyc u żyda, ale ja proponuję nie służbę, tylko — przyjacielską pomoc.

Słyszałem że masz oórkę muzykalną i wykształconą, a ja do mojej małej Maryi potrzebuję nauczycielki. Gdybyście się osiedlili w miasteczku, oórkaby u mnie znalazła-zajęcie.

— A dla czegoż nie? — odparł Jakób prawie uradowany— ja nie mam nic przeciw temu, byle ona sama się na to zgodziła. Powiem panu Lublinerowi prawdę, najlepsze dziecko w świecie, ale ja jej rozkazywać nie śmiem.

Rozśmiał się kupiec.

— Pomówimy o tem gdy tu osiądziecie, czego z serca życzę... Wątpię jednak mocno ażeby pan hrabia Manczyński zapłacił mu ile zażądał, i miał czem.

Po dłuższej jeszcze rozmowie, którą interesa przerwały, pan Jakób wyszedł prawie szczęśliwy od Lublinera, a że wszystko zawsze do Boga odnosił, musiał wstąpić do kościoła z podziękowaniem miłosiernej opatrzności. Ukląkł, ręce złożył, kilka razy ziemię pocałował, wzdychał, bił się w piersi, spłakał się troszkę i wstał potem pocieszonym i wzmocnionym się czując. Był to bo jakiś dzień szczęśliwy: spotkany chłopek, uczynność Lublinera, propozycya zrobiona Anieli, naostatek i pieniądze które miał w kieszeni, niezmierną go natchnęły otuchą.

— Bóg łaskaw! — powtarzał idąc i zabierając się do powrotu pieszo.

Nowe rozczulenie nastąpiło, gdy w rynku znalazł ohłopka, który z furą czekał na niego, oświadczając że byłby i do nocy stał aby go odwieść. Nie mógł się oprzeć pokusie Zarzecki żeby tego przyjaciela nie poczęstować nawzajem i nie przekąsić z nim. Wódka znowu wypita raz i drugi, humor jeszcze podniosła.

Pod wieczór już siedli na furkę bok w bok z jej właścicielem, a że koń wiejski drogę do domu znał doskonale,

mogli swobodnie rozmawiać przez czas cały. Szkapka, korzystając z tego, wolniuteńkim truchoikiem, nie spiesząc się, furkę ciągnęła, tak że dosyć późno do wsi przybyli.

Prawdę powiedziawszy, ta długa gadanina tak ich zmęczyła, że gdy się pod samą karczma mieli rozstawać, Zarzecki uznał właściwem i woźnicę utraktować i sam się napić. Był tak do tej nieszczęśliwej wódki nawykłym, że ona go nie upajała, poddawała tylko energii i odwagi.

Ztąd pieszo do chałupy dążył pan Jakób po za parkiem idąc, i ujrzawszy ją, stanął, bo go myśl porzucenia tego schronienia do łez rozrzewniała.

W opuszczonym pokoju, niegdyś od gości, nigdy nikt nie siadywał, nie palono też w nim światła, o które tak trudno było jak o inne zapasy. Zdziwił się mocno Zarzecki zobaczywszy że w oknie się tu świeciło. Tłumaczył to sobie tem chyba, że Lucia do swojej izdebki po coś z ogarkiem pójść musiała. Zbliżywszy się jednak postrzegł w oknie dwa cienie, z których jeden łatwy do poznania był Lucią, a drugi młodym jakimś mężczyzną.

Krew buchnęła do głowy staremu, gdy zobaczył najwyraźniej Lucię po dwakroć rzucającą się na szyję owemu cieniowi.

Przerażony tem, bez tchu prawie wpadł do sieni, drzwi otworzył i—stanął jak groźne widmo przed niemi.

Młody mężczyzna, który stojąc przy Lucii, za rękę ją trzymał, miał powierzchowność skromną ale znamionującą, że się w dostatniejszych kołach obracał. Ubranie było staranne, postawa zręczna, twarz odważnie na świat patrzała.

Dosyć słuszny i silny, miał budowę ludzi, których krew nie zubożała bezczynnością i pieszczotami, a prztem był piękny bardzo; nietylko młodością swą świeżą, ale

rysy szlachetnymi, w których mężstwo, do walki z życiem tak nieodzowne, wybitnie się piętnowało.

Na widok Zarzeckiego, Aniela krzyknęła ale radośnie, a chłopak poskoczył ku niemu z otwartymi rękami.

To zjawisko niespodziewane było synem Zarzeckiego, był to jakby spadły z niebios Zygmunt. Nie oczekiwano go tu wcale.

Stary ucieszył się do łez widokiem syna, którego powierchowność mówiła że w biedzie nie był, ale zarazem uląkł jego przybycia.

Zygmusiowi tajono i chorobę matki i nędzę domową, aby go nie trwożył, wiedząc że ledwie sam sobie rady dać może. Wiedział ojciec i siostra że się sposobił na nauczyciela, a żył z dawania lekcyj. Pomocy z domu oddawna nie potrzebował, lecz się też do niego o nią nie odzywano, aby mu nie utrudnić zawodu. Pisywał często Zygmunt a w żadnym liście nie dał znać że powrócić może. Nagle to zjawienie się jego, niepokoiło starego ojca.

— W imię Ojca i Syna!—zawołał,—Bogu za wszystko dzięki, ale skądże ty tu? Jakim sposobem.

— Prawie cudem!—odparł poważnie syn, który zbliżywszy się do ojca i poczuwszy może od niego nieszczęsną wódkę, zachmurzył się.

— Mów—zlituj się! czy broń Boże nie jakie nieszczęście, czy nie...

— Nic złego, owszem,—odparł Zygmunt,—nadzwyczajny traf, bardzo dla mnie szczęśliwy. Nauki skończyłem, o miejsce publicznego nauczyciela teraz jeszcze trudno, trafiło mi się prywatne tu w sąsiedztwie u państwa Du Royer.

Zarzecki ręce podniósł do góry, mrużąc jakąś modlitewkę.

— Z młodym Zdzisiem Du Royer poznałem się na naukach będąc razem,—mówił Zygmunt—przez niego dostałem się do jego młodszego brata. W tym domu jestem prawie jak przyjaciel. Jechali na wieś, wzięli mnie z sobą. Nie chciałem dawać znać wcześniej o sobie—ale, ojcze, ojcze kochany, wyście tu cierpieli, wam zbywało na wszystkim, a ja—nie wiedziałem o tem... Dzięki Bogu, ja mogę bez żadnego uszczerbku dla siebie wypłacić wam choć odrobinę mojego długu...

Lucia mi mówi że ojciec płaczesz, opuszczając tę chatę. Po co ją opuszczać? na co sprzedawać—ja się z wami podzielę zarobkiem.

Mówił prędko i cały przejęty, Zarzecki ciągle się zdawał modlić.

— Żal mam tylko, srogi żal do Luci, że mnie pieszcząc, nie pisała prawdy, że mnie oszczędzając, skazywała siebie i matkę i ciebie...

— Cicho już, cicho,—daj pokój—odezwał się stary, kiedy się wszystka bieda kończyć zdaje, nie gadajmy o tem.

Wpatrywał się stary w syna i widać było pociechę z niego, ale i zdumienie. Nie spodziewał się pewnie w nim znaleźć tak wyszlachetnionej istoty, która mu się prawie pańsko wydawała.

Toż samo wrażenie uczyniła na nim w pierwszych chwilach po przybyciu Lucia, ponowiło się ono widokiem syna. W duszy może wolałby go być znaleźć trochę podobniejszym do siebie. Tych dwoje dzieci tak jakoś daleko od swej kolebki odeszło. Zarzecki nie dał poznać co czuł, może niejasno sam tłumaczył się sobie z własnego uczucia—lecz coś go bolało. Myśl rozmierzywszy odległość w jakiej stały dzieci od niego, mogła też przewidy-

wać ze i one ją ozują. Stać niżej od własnego dziecka—boleśnie.

Szczeniściem Zarzecki wartość człowieka mierzył charakterem jego i uciążością, a do zewnętrznych blasków niewiele przywiązywał wagi. Bał się tylko aby świat mu nie popsul dzieci i nie wyrwał im z duszy religii i bojaźni Bożej.

Lucia stała przy bracie i skorzystała z przestanku aby uspokoić Zarzeckiego o chorą. Zygmus już był u niej, uradowała mu się i spłakała nad nim, lecz osłabła tak, że ją gwałtem potrzeba było na spoczynek położyć. Szczeniście dokonało cudu, że pomimo wzruszenia staruszka zasnęła.

— A tego nie wiesz jeszcze,—rzekł stary do córki się obracając, — jak mnie bo się dziś poszczeniściło! Poszedłem piechotą do miasteczka, poczciwy Jędrak mnie wziął na furę i podwiózł a nawet za swój grosz poczęstował. Potem z Lublinerem, choć żyd, miałem scenę, zem się spłakał, zastawu nie chciał na żaden żywy sposób wziąć a pieniędzy mi pożyczyl.

— Oddamy mu zaraz,—wtrącił Zygmunt, już sięgając do kieszeni.

— Ale, czekajże, toć niekoniec,—kończył Zarzecki,—najsmieszniejsza rzecz że Lubliner Luci ofiaruje u siebie miejsce do córki, dla muzyki!.. Co na to powiecie?

Lucia się wcale nie wzdrygnęła.

— Dlaczegożbym nie miała z tego skorzystać, gdybyśmy się do miasta wynieśli!—szepnęła.

Zygmus zmilczał, ale nie protestował.

— Jeżeli ojciec,—rzekł oicho po chwili,—wynosić się nie chce, to się spodziewam, obejdziemy bez tego.. no i bez lekcy u Lublinera.

— O tem potem!—zawołał Zarzecki,—będzie na to dosyć czasu. Długo ci twoi Du Royer bawią na wsi, a ty z nimi? Czy musisz dziś do nich powracać? mów szeroko i długo. Nie mamy cię czem przyjmować, karm ty nas mówiąco sobie.

Stary przypomniał pieniądze które przywiózł i oo do grosza wsypał w ręce Luci.

— Ja nie potrzebuję,—rzekł—mnie one na co? Bierz i oo można dostarcz matce. Ona tu pierwsza, bo ona najbiedniejsza, a my oo nogi i ręce mamy!..

Dawno już takiej chwili radości nie widział dworek za ogrodem; dawno w tej izbie opuszczonej nie siedzieli tak razem jak teraz i Zarzecki nie czuł się tak dziećmi swemi zarazem szczęśliwym i—skłopotanym.

Gdy Lucia przy nim zaczęła rozmawiać z Zygmuntem, stary słuchał i patrzył zdumiony, jakby ludzi z innego świata. Język, myśli, pojęcia—wszystko u nich było różne, dalekie od tego do czego on nawykł; nie sama żywość młodości stanowiła tu różnicę, ale—to wychowanie oo dzieci porwało i uniosło między innych ludzi.

— Ponieważ się tak wszystko składa na lepsze, odezwiała się Lucia—ja trochę przy tem obstanę żebym mogła pojechać na lekcyce do Lublinera. Naprzód zarobię oo tam dla was, powtóre—tu się zarumieniła—znajdę tam—fortepian—będę mogła zagrać.

Zawstydziała się Lucia, brat ją zrozumiał, ojciec słuchał i nie pojmował tego, żeby się mogła dobrowolnie chciać męczyć tą muzyką.

Przebiegła przez głowę Luci myśl oo teraz zrobi z hrabią, jeśliby on istotnie pomoc im ofiarował, bez której obejść się mogli—lecz—powiedziała sobie—podziękuję mu i odprawię. Niebardzo też w to wierzyła ażeby miał oię-

zar całej ubogiej rodziny dla jej miłości wziąć na siebie. W razie gdyby potrzebowała obrony — miała teraz Zygmunta.

Wśród rozmowy przerywanej, do której więcej słuchem niż czynnie należał stary pan Jakób, ciągle miał oczy zwrócone na syna. Szukał w nim tego dziecka, które pamiętał—zmieniło mu się dziwnie. Znalazł tylko w nim starą miłość dla siebie i poszanowanie. I on i Lucia, choć znali wady ojcowskie, nałóg jego nieszczęśliwy, dziwactwa, cenili w nim tę prawość nieskazitelną, posuniętą do przesady, która w istocie czyniła go w oczach wszystkich poszanowania godnym.

— Gadajże no o tych twoich Du Royach,—zagadywał stary, — ja ich mało znam, podkomorzyna nie żyła z niemi, bo to było wielkie państwo. Oni też na wsi rzadko bardzo siedzieli.—Co za ludzie? Wiem że majątni i że ucoziwi, a no więcej coś o nich bym rad wiedzieć, kiedyś ty tu u nich i z niemi.

Zygmunt zapewne inaczejby i z innej strony malował rodzinę, przy której zostawał, Luci, lub komuś co by go rozumiał, wiedział że ojcu trzeba to było prostemi i dobitnemi słowy przedstawić.

— Ojciec to musi wiedzieć że ojciec pana Du Royer był emigrantem francuskim, który się ożenił i osiedlił u nas. Późniejsze wypadki dozwoliły im znaczną dosyć fortunę odzyskać, z którą pozostali w przybranym kraju. Terazniejszy stary jest już tylko z nazwiska cudzoziemcem.

Ludzie są bardzo majątni i bardzo rozsądni, żyją wprawdzie na stopie dosyć wysokiej, lecz nie tracą i starczy im na to. Dzieci wychowują też tak, aby i w świecie się znaleźć i pracować umiały...

— Wszystko to dobre,—rzekł Zarzecki,—ale ty mi mów, jak ten Du Royer wygląda, co—jak, kto ona?

— Sam był długo wysokim urzędnikiem, a dziś jest bardzo zabieglwym gospodarzem, lubi czytać... Człowiek na pozór łagodny, w gruncie charakteru silnego i niedającego się ugiąć.

— Cóż on lubi? hm? na co choruje? — spytał Zarzecki.

— Choroby ja w nim nie dopatrywałem,—rzekł syn, a prawdę rzekłszy nie nie lubi namiętnie i trochę zimnym jest.

— A pani?

— Pani dzieci kocha, ale i do świata przywykła i miasto też ją bawi,—ciągnął Zygmunt,—kobieta zacna, tylko może zbytnią wagę przywiązuje do elegancyi i powierzchowności.

— No—to jak nasza pani Idalia,—rozśmiał się stary, musi na wsi się nudzić.—A znają się one z sobą?

— Znają i sędzę że muszą być dosyć dobrze, bo o nich kilka razy wspomniano, rachowano na to sąsiedztwo.

— Jeżeli tak—odezwał się stary Zarzecki, niewielkie mam o nich wyobrażenie.

To mówiąc wstał, a że modlitwy swe musiał odprawić, uściaskał syna i wyszedł.

Lucia na chwilę pobiegła podsłuchać czy matka się nie obudziła i powróciła do brata, który w czasie jej nieobecności przechadzał się smutno, zaglądając po kątach i przypatrując się sprzętom zapyłonym, śladom nędzy o której wyobrażenia nie miał.

Spoważniał gdy zostali sam na sam z siostrą.

— Zrobiliście mi, z wielkiej miłości dla mnie, najwię-

kszą przykrość i bolesć—odezwał się do niej.—Jak można było zostawić mnie w błędzie?

— To był egoizm,—zawołała broniąc się Lucia.—Na tobie pokładaliśmy i pokładamy wszystkie nasze nadzieje. Ani ojciec ani ja nie chcieliśmy ci utrudniać tego wyzwolenia, które przecież i nam było potrzebnem.

— Moja droga!—przerwał Zygmunt,—ja z mojem nauczycielstwem nie wiem czy kiedy na świecie czego dojsć potrafię, ty byłaś na drodze co cię mogła poprowadzić do sławy i—losu,—poświęciłaś się.

Aniela uderzyła go po rękę.

— Nie mów tego,—zawołała—nie mów! Nie znasz, nie wiesz czem jest los artystki! Nie prowadzi on do niczego, a w fałszywym stawi położeniu. Z tego wszystkiego dla mnie jedno było najdroższem, żem została wtajemniczoną w sztukę i rozkoszy jakie ona daje skosztowała. Ale jak drogo opłacać je przyszło!

Artystka—kapłanka, powinna by być poszanowaną jak wyższa istota, świat w niej widzi jakąś Heterę grecką, jakąś Aspazję, nie wierzy w jej onotę, zamiast żądać od niej aby była tłumaczem myśli, chce w niej mieć narzędzie uciechy!

— Luciu, co bo pleciesz!—zawołał Zygmunt.

— Mówię ci co myślę, com przeżyła, czego doświadczyłam,—śmiało poczęła Lucia. Nauczyłam się odwagi słowa i postępowania, a oduczyłam trwożliwości kobiecej; inaczej byłabym się może nie umiała obronić tłumom, które mnie otaczały ciągnąc na bezdroża.

Mówię ci to z pewnym rodzajem obrzydzenia, którym mnie przejął widok świata bliższy, zetknięcie się z nim...

Zygmunt patrzył na nią z podziwieniem i milczał. Ta mowa śmiała, ognista, mimowolnie ubrana w jakiś wdzięk

artystyczny, odbijała dziwacznie od ubrania i powierzchowności dziewczyny bosej, z włosami niedbale zgarniętymi na głowie, wynędzniałej i zbiedzonej straszliwie. Obudzała poszanowanie i litość a obcy byłby może rozplomieniał dla niej, tak egzaltacya ta czyniła ją ekscentrycznie piękną; tylko tego rodzaju piękność niestrojną, zbrukaną, wgniecioną w nieubłaganą rzeczywistość i obluźganą przez nią, nie każdyby potrafił zrozumieć i ocenić.

Chłodniejszemu trochę Zygmunтови, wydała się siostra egzaltowaną.

Zbliżył się do niej z uśmiechem smutnym i całując ją w ozoło szepnął pocichu.

— Egzaltujesz się!

— Jestem wyegzaltowaną,—odpowiedziała, niesama przez się, ale przez miłość sztuki, przez niedolę rodziny, przez pogardę dla ludzi, przez młodość która rozkwitnąć nie może, przez serce które usycha!.

— Tak! — powtórzyła, —jestem egzaltowaną i ta egzaltacya dawała mi siły i męstwo do podolania temu od czego byłam już odwykła jako artystka... Od Chopina pieśni musiałam przejść do ryczenia krowy, od Schumana marzeń do garnka, z którym się nie umiałam obchodzić, od klawiszów, z których hymny się łały, do ścierek i miotły. Na to potrzeba było egzaltacyi, bo ona tylko mogła mi tę nędzę osłodzić i uświęcić, wskazując w niej dzieło miłości i poświęcenia.

— A więc niech to będzie święta egzaltacya, — rzekł Zygmunt, ale dziś możesz już z niej ostygnąć bo ona cię spali i zniszczy...

— Alboż myślisz że inny być może los człowieka co kocha sztukę lub spełnia ciężkie obowiązki życia?.. spalić się na ofiarnym stosie, to nasze przeznaczenie... a być wy-

braną na ofiarę! znaczy być wybraną z wielu i jej godną! Tak, mój Zygmunco.

— Na Boga! uspokój się trochę, Luciu, ja cię nie poznaję i boję się o ciebie.

— Ale ty mnie zrozumiesz,—odparła siostra,—ty poj-
miesz i to, że jako artystka ale nikczemna i egoistka, mo-
głam zapomnieć obowiązku, powiedzieć sobie—mój obo-
wiązek pieśnią lecieć w niebo i żyć w melodyi nadziem-
skiej!.. Poskromiłam w sobie to samolubstwo. Żaden hymn,
nawet Siedem słów Haydna i Stabat Pergolesego, niewar-
te są lży matce otartej.

Zygmunt pochwyił ją, i przyklękawszy, do kolan
się jej schylił.

— Luciul—zawołał—cześć ci oddaję!

— To źle, — odparła rozplamieniona dziewczyna, —
cześć to zapłata. Ja nie chcę być zapłaconą, boby moja o-
fiara odebrana mi była.

— Dzięki Bogu, wszystkim ten dramat skończy się ry-
chło,—dodał Zygmunt,—przyszła kolej na mnie, jeśli nie
takiego poświęcenia jak twoje, to choć skromnej długu
wypłaty, będziesz mogła choć trochę powrócić sztuce.

— Al nie,—przerwała Aniela z uśmiechem, potrzą-
sając głową.—Trochę się nie powraca do sztuki, sztuka jest
zazdrosną panią, chwytą całą istotę lub odpycha. Ci co są
trochę artystami, nie są żadnemi. Jest to najplugawsze
plemie ślimacze, co pełza u nóg bóstwa.

Pierwszy raz od bardzo dawna mogąc tak otworzyć
duszę, Aniela przed bratem wylała się z nią, wyegzaltowa-
ła, lecz cieleśnie i dusznie wycieńczoną będąc długą po-
przednią męczarnią, poczuła że się jej siły wyczerpywały,
zachwiała się i usiadła by spocząć. Zygmunt stał poruszony
silnie, lecz po mężku panując nad sobą.

Chciał ją znów łagodnemi słowy uspokajać, gdy Lucia, otarłszy dwie łzy, które na powiekach gorących na pół już były spłoneły, porwała się biedz do matki.

Oczekiwała jej przebudzenia.

Otwarcie drzwi, które usłyszał stary Zarzecki, oderwało go od modlitwy, na ten raz skróconej, [do syna wszedł zaczynając od uścisku.

— Jak Boga kocham,—jabym może gdzieindziej ciebie nie poznał, że ty moim synem jesteś! — rzekł z westchnieniem.—Co to się z ciebie zrobiło.

— Kochany ojcze, serce zostało doprawdy toż samo! — szeptał całując ręce jego Zygmunt.

— Wierzę, — krótko rzekł stary,—mam nadzieję że tam na tym świecie pełnym bezbożników nie popsuli cię, żeś nie oduczył się ani modlić, ani Boga bać.

Spojrzał w oczy synowi, którego wzrok spokojny nie uląkł się tego badania.

— Mnie wiara w miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą trzymała i trzyma na świecie—dodał.—Inny by przepadł! Ludzie mnie oplwali, posądzali, niemal mi zadali złodziejstwo. Panu Bogu ofiarowałem i anim oierpliwości nie stracił, ani nawet nieprzyjaciół nauczył się nienawidzić.

No—co prawda, tych paskudnych Manczyńskich, których i nieboszczka nie lubiła za utracyszowstwo, ja też nie kocham, alem im przebaczył.

— Przecież musieli przestać już rzucać te kalumnie na ojca?—dodał Zygmunt.

— Gdzie tam!—rzekł stary.—Prawda że bo się rzeczy złożyły tak dziwnie.

Zatrzymał się trochę.

Hm! nie ma co mówić że ś. p. podkomorzyna grube pieniądze miała, i że się one po jej śmierci nie okazały. Ja byłem u niej wszystkiem, więc się czepili do mnie. — Gdzie są. Jam ich nie wziął..

Syn spojrział na ojca, który mówiąc to oczy spuścił i miał minę dziwnie zmieszanego.

— Gdybyś ojciec wiedział co się z tym nieszczęśliwym spadkiem stało, jużbyś go im wskazał, — odezwał się Zygmunt.

Stary potarł ręką po czole, obejrzał się, mówić mu jakos nie było rażno.

— Mój kochany Zyguncie, — rzekł powolnie, jakby słów chciał dobierać, — dużoby o tem gadać można i nie wygadać jeszcze wszystkiego. Nieboszczka grosz sobie zebrała od gęby odrywając, głodem mrząc, bo miała jedną myśl tylko, żeby familię od upadku zabezpieczyć. Marnotrawcy są! do rąk im nie dam, niech lepiej przepada! Pieniądz ich popsuje, nigdy się nie poprawią, nigdy się pracować nie nauczą... Ot co! Rozumiesz.

— Mogła majorat czy ordynacyę zrobić! — wtrącił Zygmunt.

— Ja bo tego nie rozumiem co to jest, — odezwał się stary. — Wiem że stara chciała coś takiego, jakiś taki zapis uczynić, żeby stracić go i zmarnować nie było sposobu. A no, poczęła się radzić z adwokatami! Gdzie! co! powiedzieli że to musi iść het! wysoko, że na to trzeba i okrutnie wiele czasu i bardzo wiele pieniędzy. — Jak tylko zagrozili wydatkiem, nieboszczka zakrzyknęła. — Chcą mnie szelmy obedrzeć! nie dam! Dosyć tego.

— Więc cóż zrobiła? — spytał Zygmunt.

— Al! al! — mruknął jakoś zagadkowo stary, — coś tam ona zrobić musiała! To do mnie nie należy. Kobieta była

rozumna, choć w dziurawych chodziła pończochach i podartej koszuli.— Coś ona musiała zrobić! —powtórzył.

— Ojciec o tem wiedzieć nie mógł! —wtrącił syn.

Zarzecki popatrzał na niego długo, i cicho zakończył:

— Pewnie! Coto do mnie należało! A gdybym wiedział i miał przykazanie nie gadać? już ció choóby mnie smażono i pieczono w smole—nie godziłoby się zdradzić zaufania nieboszczki.

Znowu popatrzał na Zygmunta, który na to pytanie nie odpowiedział w początku.

— Nieboszczka gdyby żyła,—rzekł po namyśle, nie mogłaby wymagać, abyś ojciec poświęciwszy jej całe życie, miał jeszcze cierpieć dla niej teraz sam, i matka.

— A! matka! matka!—składając ręce począł Zarzecki. Co tam, ja! Jam się nażył. Bylebym raz ten mój młyn dokończył.

Hę! wiesz, już już jest na wychodnem mój młyn.

Zygmunt oczy spuścił.

— Wy wszyscy mi nie wierzycie, ja to wiem,—mówił stary, a przekonacie się — dożyję tego że młyn stanie.

— Nie chciałym ojcu kochanemu tej nadziei odbierać,—rzekł w końcu Zygmunt—ale do budowania machin wiele rzeczy się uczyć trzeba.

— Mnie, powiadam ci, jakem się czasem wymodlił o natchnienie, do Matki Bożkiej i do Józefa świętego, patrona robotników, we śnie aniołowie najpiękniejsze myśli przynosili. Tak mi Boże dopomóż.

Zygmus pojawił że dysputować z człowiekiem takiej wiary, było próżnem, i że należało go zostawić przy tych przekonaniach i nadziejach, które mu złościły życie. Zamilkł.

— Jak mój młyn stanie,—dodał Zarzecki, tak ja nikogo nie potrzebuję. Złotem mnie obsypią. Zobaczysz.— za wszystkie czasy odpoczniecie w dobrobycie. Lucia sobie będzie grała po całych dniach i śpiewała, a tobie wioskę kupię i ożenię cię z taką paradną panną, że — zobaczysz!

Roześmiał się syn, stary też rozpromieniał marzeniami.

— Ale ty jesteś pewnie głodny?—rzekł nagle odchodząc na ziemskie padły. Wódkibyś się nie napił?

— Nie piję nigdy,—odparł syn.

Stary się jakoś zarumienił.

— W wódce bo znowu złego tak dalece niema nic,— odezwał się trochę płacząc, byle jej nie nadużywał. Siły dodaje.

Przeszedł się po izbie.

— U mnie prócz chleba i ozosnku, nie ma nic,—rzekł po przestanku—a Lucia żeby ci choć chleba dała i mleka? A i kawy by ci mogła zgotować, bo dla matki jest pono kawa. Ja jej nie potrzebuję. Ja już takem się odzwyczaił, że i za mięsem nie tęsknię, aby chleba kawałek. Dalibóg. A no i z tem mi dobrze! Chleb, woda i nie ma głodu, mówi chłop i ma rację. Reszta wymysły ludzkie. Człowiek nie na to stworzony aby sobie palce oblizywał, lecz żeby Boga chwalił usty i uczynkami.—Ot, co.

Równy prawie kłopot był z przenocowaniem syna jak z nakarmieniem, bo i siana na najprostsze posłanie, dostać nie było można.

Zygmunt śmiejąc się upewniał, że na starej kanapie pod płaszczem doskonale się wyśpi. Lecz do snu było daleko. O cokolwiek potraścili w rozmowie, z każdego wyrazu długi wysnuwał się wątek... Nie widzieli się dawno, syn mało wiedział o rodzicach, oni o dziecku. Pytaniom

i odpowiedziom nie było końca i późno w noc dopiero znużenie napędziło do spoczynku.

Przed wspaniałą toaletą, okrytą mnóstwem cacek mi-sternych, siedziała piękna pani Idalia, której Basia trefiła, z ostrożnościami niezmiernymi, prześliczne, długie włosy.— Nikt oprócz panny Drobisz dotknąć ich nie śmiał, bo nużby wyrwano choć jeden z tych kosztownych jedwabnych, długich promieni, które otaczać miały bóstwa czoło?

W blasku światła bijącego z okna wprost, jeszcze niedokończony pieszczoł i obrzędów czoi płci swojej alabastrowej poświęconych, pani Idalia wydawała się troszynieczkę już przywidłą. Twarzyzka była zawsze wdzięczną, jeszcze, rysy się nie zatarły, nie zgrubiały, blask oczów nie gasnął, usta dziecinnym uśmieżkiem się ściągały, dwa dołeczki cudowne mając po stronach obu—ale około powiek jakby cień przyszłych zmarszczek występował, około noska czasem policzki zbyt ostremi odcinały się liniami, świeżość skóry dawniej puszką młodości pokrytej, od kosmetyków cierpiała i puszek zmieniać się miał ochotę w ciemne włoseczki, o których wyplenieniu była mowa po oichu.

Basia utrzymywała że to są przywidzenia i że najdroższa pani nigdy nie była piękniejszą, przecież właścicielka tych wdzięków wzdychała i bywała smutną. W salonie, gdy się ożywiła, po obiedzie gdy krew obiegała silniej, przy świetle, w pół mroku, była to jeszcze dawna Idealia, ale w pokoju własnym przed zwierciadłem widziała już swą przyszłość. Coraz też więcej sprowadzano owych cudownych eliksirów, proszków, smarowideł, farb, które

miały skutkować dziwnie, a w istocie przyspieszały ruinę. Całemi godzinami czasami, przy drzwiach zamkniętych, Basia z panią pracowały nad restaurowaniem maleńkich uszczerbków, a pani Idalia przy tem wpadała w najgorsze humory. Jedynym środkiem rozzerwania bywały naówczas zbierane na tę złą godzinę wiadomości bieżące, które panna Drobisz umiała grupować zwięźle i zużytkować wedle wymagań chwili. Dnia tego okazywała się ich wielka potrzeba, pani Manczyńska była nadzwyczaj smutna, pogrążona w sobie, znudzona, nie do rozbawienia. W dwóch miejscach skóra delikatna wyraźnie się marszczyć zaczynała. Wyciskało to łzy z pięknych oczu czarodziejki.

Panna Drobisz zagadywała, naprzód folwaroznemi mniejszej wagi plotkami, naostatek odezwała się.

— Mam coś, z czego moja anielska pani będzie pewnie kontenta!

— No, cóż?

— Dostaniemy znowu miłe sąsiedztwo...

— Al czyż być może? Chyba zartujesz... Kogoż?

— Złota moja pani domyśli się.

— Al nie, ty wiesz że nie lubię i nie umiem się domyślać—mów od razu.

— Państwo Du Royer przyjechali!

Zajaśniały oczy pani Idalii, ucieszyła się widocznie.

— Al czyż pewnie! moja droga!

— Najpewniej wiem o tem. Muszą już być od dwóch dni z całym dworem i lada chwila tu przyjadą.

— Zgadłaś że to mnie bardzo, bardzo ucieszy, moja Basiu, ale, jeżeli oni są, ja na ich wizytę nie będę czekała. Dziś pojedę!

Z państwem du Royer stosunki były dosyć przyjazne, bo pan i pani Manczyńska troskliwie je pielęgnowali. Na-

przód był to dom prawie pański, nazwisko cudzoziemskie, z dodatkiem tytułu, bo Du Royer miał prawo do Vi-Comte'a; familia żyła w świecie. Wprawdzie między piękną, rozpieszczoną Idalią, a poważniejszą daleko panią Klementyną Du Royer różnica charakterów i usposobień była ogromna, lecz dwie panie miały jeden język i choć powierzohownie pewne powinowactwo formy. Pochlebiały państwu Manczyńskim poufałe stosunki z tym domem już do arystokracji należącym. Pani Idalia naciskała się niemal ze swą serdeczną przyjaźnią pani Klementynie, która jej nie odpychała, bawiąc się tą trochę dziecinną istotą.

Ubrawszy się piękna pani pośpieszyła zwiastować mężowi przybycie sąsiadów i zamiar odwiedzenia ich popołudniu. Pan Onufry zbyt był zawsze posłusznym swej pani, aby się jej śmiał sprzeciwić w czemkolwiek. Zdawało mu się że lepiejby może było poczekać aż państwo du Royer oddadzą wizytę, ale pani Idalia czekać nie chciała.

— Po cóż te ceremonie na tym stopniu na jakim my z niemi jesteśmy. Ujmie ich, zobaczysz, ten nasz pośpiech, a ja ich tak lubię!

Po obiedzie kazano zaprzęgać do wiedeńskiej landary i oboje państwo w najstaranniejszych toaletach ruszyli do Borku.

Borkiem zwała się rezydencya państwa vice hrabiostwa, w której oni czasem parę miesięcy letnich przebywali, częściej przesiadując w mieście i zagranicą.

Czasem sam pan Henryk zaglądał tu dla rozpatrzenia się w gospodarstwie, zwykle dwór i ogród stały pustkami. choć dosyć starannie utrzymywane, bo w dobrach państwa Du Royer wszędzie przykładowy porządek panował.

Dwór był stary, dosyć obszerny, niewiele przyozdobiony, lecz schludny i wygodny. Bogaci państwo nie sa-

dzili się tu na żaden przepych i elegancję, bo to było le-
tnie ich obozowisko. Na niczem jednak w nim nie zbywa-
ło. Znać było z wejrzenia na służbę, na przybory, na cały
organizm tutejszego życia, że miał silne i trwałe podstawy,
Wszystko było dostatnie, przyzwoite a nie jaskrawe, ni-
gdzie popisu, wszędzie zamożność i zapasy.

Rządca, który w Borku mieszkał, utrzymywał dom
zawsze w takim stanie, aby każdego dnia na przyjęcie pań-
stwa był gotowym; nie potrzebowano nic przywozić
z sobą. Stary dwór miał nawet na powitanie dziedziców
kwiaty i bluszcze, a ganek cały obwieszony był aristo-
lochiami i powojami. Tu dzieci mogły używać kąpieli,
przejażdżek, polowania, spacerów i odżywiać się wiejskim
powietrzem. Najbardziej też dla nich i ich uciechy zjeź-
dzano do Borku, przy czem sam pan Henryk badał stan
swoich folwarków i naradzał się z oficyalistami.

Gdy powóz Manczyńskich stanął u ganku, wyszła na-
przeciw sama pani Klementyna, kobieta już niezbyt młoda,
świeża, ubrana z wielkim smakiem, w której poznać było
łatwo osobę do wyższego nawykłą towarzystwa. Pana
Henryka i starszego syna nie było w domu, i wchodzący do
salonu państwo Manczyńscy, z okazami niezmiernej weso-
łości i uciechy, zastali w nim wyrostka tylko, młodszego
syna, który był niebardzo zdrow, a obok niego jakiegoś
jegomości wyglądającego wcale przyzwoicie i wielce pou-
fałego.

Pani du Royer zaprezentowała i syna i tego pana, ale
tak jakoś niewyraźnie, że nazwiska nie dosłyszeli państwo
Manczyńscy. Pani Idalia, która zwykła była pilno się
przypatrywać każdemu mężczyźnie, gdyż im przybywało
więcej zmarszczek, tem bardziej ubiegała się za adoratora-
mi; rzuciła też okiem na tego pana, i wydał się jej bardzo

przystojnym, *très comme il faut*. Była pewną że to jest albo jakiś kuzyn samej pani, o którym dawniej wspomiano, lub nowy jaki sąsiad, bo tych wielu nie znano w Żabiem.

Uderzyło ją nadewszystko to, iż ów nieznajomy był w salonie jak w domu, z chłopczykiem jak z bratem, i że sama pani zwała go, *Monsieur Sigismond!*

Naostatek do utwierdzenia o nim dobrej opinii przyczyniło się i to, że ślicznie mówił po francuzku. Strój zaś jego bardzo skromny, był z wielkim smakiem wybrany.

Pani Du Royer sama jedna mając do zabawienia obojga państwa, zdaje się że znakiem jakimś wezwała młodzieńca ku pomocy. Z wielką łatwością w obejściu, zbliżył się, siadł, do rozmowy wnięszal i w istocie bardzo się stał użytecznym.

Rozmowa toczyła się o rzeczach błahych, lecz właśnie to w niej jest największą sztuką by z niczego utkać wzorzystą tkaninę pełną barw i świetności. Młodzieniec zarówno z panią Du Royer okazał się w tem mistrzem, poddawał treść, podpomagał panu Onufremu, podnosił słowa, popędzał niekiedy, zwracał, ułatwiał, podpowiadał, i zręcznie bardzo dosypywał czasem dowcipem.

Od pierwszego wejrzenia na tego dystyngowanego, jak się jej zdawało młodzieńca, pani Idalia powiedziała sobie, że go uczyni swym adoratorem.

Mówiliśmy już o tem, że nigdy pani Manczyńskiej od wielbicieli tych nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo. Serce jej zawsze zostawało wierne jedynej miłości jaką znała—miłości samej siebie. Adoratorowie służyli do trybularzów i kadzenia, nagradzano ich aksamitnem wejrzeniem, czasem półuśmiechem, rzadko upuszczonym kwiatkiem, a już najrzadziej w razach wyjątkowych ścisnięciem ręki. Pomimo to potrzebowała być adorerowaną pani Man-

czyńska i cieszyła się myśląc że za nią ten, ów, przepada i głowę traci. Zdobycie nowego numeru do rejestru wielbicieli, nie kosztowało ją wiele. Kilka dobrze skierowanych wejrzeń starczyło. Jeżeli zwierzyna została tylko postrzeloną lekko i zabierała się uciekać, naówczas wejrzzenia padały gęsto, natarczywie i nie bywało przykładu ażeby się ich sile oparł zaatakowany.

Rozmawiając bardzo żywo z panią Klementyną, pani Idalia natychmiast po rozpatrzeniu się w tym panu Zygmuncie, podjazdową wojnę rozpoczęła. Wiadomo to powszechnie, że każda taka piękna pani, otoczona dokoła i śoigana oczów tysiącem, gdy chce, nawet wśród takiej gąszczy, potrafi oczyma pójść niepostrzeżona, gdzie ją jej strategia pokieruje. Tu, nie było nadzwyczajnych trudności, bo pan Manczyński zwrócony był ku młodzieńcowi, pani du Royer bawiła sąsiadkę, a pani Idalia patrząc na nią, napozór z natężeniem, mogła robić wycieczki ku panu Zygmunto wi—niepostrzeżona.

Im się mu więcej przyglądała, tem mocniejszego nabrała przekonania że to był człowiek dystyngowany i—dobrej familii. Inaczej nie miałby tej łatwości ruchu i mowy, cośby w niem było sztywnego i zakłopotanego. Nakoniec pilniejsze badanie małych szczegółów, mówiło za jego pochodzeniem. Twarz miła, rysy wielce szlachetne i czyste, ręce były starannie pielęgnowane, akcent francuski wyborny. W duchu mówiła sobie pani Idalia że chłopiec był śliczny. W uśmiechu pokazywał zęby perłowe; obok niego siedzący, zakonserwowany z całą sztuką wyrozumowaną, nabytą długiem doświadczeniem, pan Onufry, wydawał się starym i—przepraszam za słowo—z babimym. Hrabia Zamiński nie mógł z nim iść w porównanie.

Pani Idalia z początku nie wciągała go do rozmowy,

(chciała się podrożyć z sobą)—popisywała się tylko z głosem uroczym, dźwięcznym, którego czary znała, w ruchy starała się wlać poezją, gracyą, wdzięk ów uczony, który przychodził u niej na zawołanie. Umiała tak usiąść aby uwydatnić figurę, kazać się domyślać ślicznej nóżki, mignąć białemi ramionami. Były to preludye tylko, po których następowały wejrzenia przelotne, obojętne, potem się ni by zatrzymujące mimowoli i uciekające skwapliwie. Wedle programu, później, gdy wzroki się spotkały, co zawsze następowało,—wejrzenie pani Idalii zaczynało stronić, uciekać, ni by gniewnie unikać, aż póki nie wróciło łaskawsze.

Ten zwykły plan strategiczny w zastosowaniu do pana Zygmunta—okazał się, chybionym.

Pani Manczyńska spojrzała naprzód razy kilka zupełnie napróżno, oczy poszły, trafiły na twarz odwróconą i musiały się cofnąć bez skutku. Po próbach żywo powtórzonych i niepokojących, raz gdy wzrokiem napotkała oczy pana Zygmunta, młodzieniec jakby przeczuwając niebezpieczeństwo—drapnął.

Sromotna ta ucieczka nie dała się żadnym stratagematem naprawić, pani Idalia udawała że już tam nie patrzy. Sądząc że on naówczas powróci i na uczynku zostanie pochwycony. Gdzie tam! ani spojrział i siedział zimny, zajęty czem innem, jak gdyby najsliczniejszych dwoje oczów nie uśmiechało się do niego.

Nadzwyczaj to zabolalo piękną panią.

Wypadek był prawie bezprzykładny,—pani Manczyńska nieraz na starych i wystygłych ludziskach próbowała wejrzeń swoich i zdumionych a obalamuconych przykuwała do swojego rydwanu, a tu!.. rzecz była niepojęta.

W takich razach żadna czująca swą godność niewiasta nie daje się pokonać, nie rzuca ofiary swej, ale całą siłą ją ściga. Tak też uczyniła pani Idalia, i w końcu te strzeliste wzroki, zwróciły uwagę pana Zygmunta, wywołały zdumienie i nie więcej.

Tembardziej ją teraz ten młodzieniec zajmował. Postanowiła się pomścić, ale bardziej wyrafinowaną metodą.

Tymczasem rozmowa nader zajmująca trwała ciągle, pan Manczyński, który jak kółko o je dzieci czasem dla zabawki toczą, popychany przez nieznanego sobie przedziwnie się rozgadał, wpadł w humor wysmienity, bawił wszystkich oprócz żony, która w duchu znajdowała go zbyt gadatliwym. Wesołą także była pani Du Royer, tylko pani Idalia obrażona nieco, zaczęła usta zaciąć i trzymać się na stronie.

Pana Zygmunta, co w mniemaniu o jego pokrewieństwie utwierdzało, posyłała kilka razy pani domu, coś mu szepcząc do ucha. Wychodził, wracał, dawał dyspozycyę i niezmiernie okazywał się usłużnym i grzecznym.

Pani Manczyńska jednak znajdowała go coraz—mniej miłym, coraz niesmaczniejszym.

Podano herbatę, państwo Manczyńscy już nie mogą czekać na powrót gospodarza, zaraz po niej wyjechali.

Zaledwie powóz był u bramy, gdy pan Onufry, który się rozgadał, począł czynić uwagi.

— Wiesz, Du Royerowa dużo zestarzała,—rzekł.

— Ja nie znajduję.

— Ten młody—kuzyn zapewne, bardzo mi się podobał,—dodał pan Onufry.

— Z czego? nie rozumiem! — przerwała Idalia, chyba że ci do rozmowy posługiwał? Ja w nim nic nie znajduję.

— O! ty, masz prawo być trudną!—rzekł mąż grzeźnie.

— Nie słyszałaś nazwiska? jak się zowie?—spytała żona.

— A! Monsieur Sigismond! dalej nie wiem nic,—śmiał się Onufry. Kuzynek jakiś. Posądzam trochę, madame Clemense, że go sobie przywiozła, aby się na wsi nie nudził tak bardzo.

Idalia za ten żarcik naseryo się rozgniewała.

— Widzisz! wy wszyscy tacy jesteście! zaraz najnie-dorzeczniejsze posądzania! Osoba tak poważna, tak niemłoda.

— Ale mój aniołku! o niczem złem nie pomyślałem i nie posądzałem...

Wymówka ta nie pomogła, piękna pani wcisnęła się w swój kątek powozu, oczy skierowała w pole i zamilkła. Pan Onufry poznał teraz iż musiała mieć jakiś powód do tego spleeniku, i zapaliwszy cygaro, zwrócił się w drugą stronę, nie próbując dalszej rozmowy.

Już zbliżając się do Żabiego, pani przerwała milczenie i oświadczyła mężowi, że „jednego z tych dni“ chce prosić państwa du Royer na obiad, przeciw czemu pan Onufry jak zwykle, nie do zarzucenia nie miał.

Przy rozbieraniu się z Basią, pani była miłożącą i kwaśną, a panna Drobisz o przyczynie złego humoru dowiedzieć się nie mogła.

Humor ten nawet przetrwał noc i zjawił się jeszcze nazajutrz rano. Nie ma bo nic przykrzejszego dla bardzo pięknej kobiety, nawykłej zwyciężać, jak gdy raz pierwszy oko się jej pośliznie. Napoleon pod Berezyną i pod Lipskiem doznał tego samego uczucia.

Nazajutrz pan Onufry chodził na palcach a faworyta

dostała burę. Dla rozerwania Pan Bóg dał tego dnia starego Bendrzyńskiego, który umyty, ogolony i ubrany odświętnie przyjechał do czcigodnego sąsiada. Pan Onufry wiedząc że naprzód interes pieniężny miał się z nim traktować, wprowadził go do siebie.

W istocie sąsiad przywoził jeżeli nie pieniądze to obietnicę ich, ale na półtrzecia mies i weksel osobisty, uroczysty, przy świadkach oblatowany, przy świadkach pana Manczyńskiego. Pan Onufry o warunki nie nigdy się nie targował, szło mu o pieniądze, zgadzał się na wszystko.

Ponieważ szlachcic by się był formalizował nie będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pani hrabiny, po omówieniu interesu poszli na herbatę do salonu. Ostrzegł jednak gospodarz ażeby przy żonie o pieniądzach wspomnienia nie było.

Pani Idalia wyszła przez ciekawość tylko do Bendrzyńskiego, ale wyszła doń jak Juno dumna, zasępiona, racząc ledwie nań spojrzeć.

Stary, który był, mimo wieku, kobieciarz wielki, oczyma pożerał tę lalkę, chodzącą w obłoku woni i śliczną jak bóstwo.

Przelotne spojrzenie na brudnego mimo umycia starca, przekonało gospodynię, że ten przynajmniej do czoł jej należnej się poczuwał. Zabawiało ją to trochę i parę razy uzościła go wejrzeniem. Nawet się odrobineczkę rozchmurzyła, bo ci co są do kadzidla przywykli, wolą najgorsze od żadnego. Parę słów wyrzeczonych potem oczarowało do reszty starego satyra.

Pani Idalia tę łaskawość dla Bendrzyńskiego motywowała sobie tem, że może być czasem potrzebnym, dla tych nieszczęsnych pieniędzy, o które coraz było trudniej.

Bendrzyński odjeżdżał zachwycony. Wieczorem, już pewien że pieniądze mieć będzie, pan Onufry sam podszedł pod okno panny Barbary i to w chwili gdy się u niej Więkowski znajdował, co zmusiło go ukryć się za firankę.

Panna Drobisz wychyliła się dla zasłonięcia sobą gości.

— Co pan każe?

— Chcę wiedzieć co tam z tym interesem o dożywocie? Nabywamy czy nie? odstąpią?

Nie chcąc przy świadku mówić, Basia wybiegła do pana Onufrego na podwórze i tu z nim poszeptawszy, natychmiast Więckiego posłała do dworku.

Pisarz miał polecenie nader delikatnej natury. Szło o to ażeby, już się nie targując o cenę, wymódził na starym Zarzeckim, aby kwitował z tysiąca dwóchset biorąc tysiąc. Reszta zostawała jako porękawiczne dla panny Drobisz, a Więkowski miał z tego dostać pięćdziesiąt.

Zdawało się posłowi że nie nie mogło być łatwiejszego nad dobioie takiego targu. Cóż mogło szkodzić staremu pokwitowanie z tysiąca dwóchset?

Godzina do konferencyi z Zarzeckim nie była zbyt dobrze obrana, mrok padał gęsty, a we dworku zawczasu szli wszyscy na spoczynek. O zaszytych tam zmianach pan Więkowski nie nie wiedział. Pomyślał sobie, że gdy kto zbiedzonym ludziom przynosi taki kapitał, ma prawo zbudzić ich choć o północy. Zdala spostrzegł że w oknach było ciemno wszędzie.

Stary Zarzecki nie spał jeszcze. Napiwszy się wódki, odmawiał swoje pacierze chodząc po izdebce. Miał ten zwyczaj że ich cicho nigdy, nawet w kościele, nie mógł mówić, potrzebował dla siebie prawić głośno i deklamował z uczuciem. Były to modlitwy przejęte, uczute, wyjęczone

nieraz, wyplakane. Niekiedy stawał, ręce podnosił, oczy zawracał, bił się w piersi, milknął skupiając ducha.

Patrząc nań gdy się modlił, najobojętniejszy z ludzi poszanować musiał to uczucie, które prostaczka podnosiło do bóstwa a odrywało od ziemi.

Teraz, przybycie syna, nadzieja poprawy losu, rozgrzewały bardziej jeszcze starego, łzy wdzięczności płynęły mu z oczów.

Cały był duchem na tej modlitwie gorącej, gdy—usłyszał chód i chrząkanie. Dokończył naprzód zdrowaśki, przeżegnał się i drzwi otworzył. Ciemno było.

— Kto tam?

— A to ja, Więckowski.

— Cóż to tak późno?

— No, tak się złożyło, proszę pana, interes.

— A chodź!—rzekł Zarzecki, i zostawując drzwi otworem, poszedł do stolika świecę zapalić, bo ohoć ją już miał, dla siebie jej ekspensować nie ohoć.

Nim próg wysoki znalazł pisarz, światelko błysnęło. Stary się odwrócił.

— No, cóż to tam takiego?

— Toć panu wiadomo, względem tego cośmy mówili, —począł dyplomatycznie Więckowski, który przez drogę medytował, czyby za przykładem panny Drobisz, nie mógł ze starego biedaka jeszcze sobie jakich trzydzieści wytargować. Zdawało mu się że tu szczęście przynosi.

— No, to cóż?—powtórzył trochę skłopotany pan Jakób. Cóż!

— Cóż? Ja panu mówiłem, oni radziły się zbyć sąsiedztwa, to w końcu i dadzą.

Mimowolnie zdradził się Zarzecki, zawoławszy:

— Ot tobie masz!

Więckowski się zdziwił, zamiast radości, której się spodziewał, znalazłszy niemal frasunek.

— Gotówką?—dodał Zarzecki.

— Jużci gotówką,—potwierdził Więckowski.

Skrzywił się stary. Słowo się rzekło, cofaś się jakoś nie było przyczyny. Zamilkł.

Więckowski patrzył i rad był wyczytać coś z twarzy, na której wypisane było zmartwienie. Zarzecki głowę tarł i wąsy wyciągał.

— Ależ to tak cap, łap, urwij, podaj, niemożna,—odezwał się, niech ja ze swjemi pogadam i przygotuję.

— Toć na to wiele czasu nietrzeba,—rzekł Więckowski.

— A zkądże wiesz ile czasu zabierze chorą kobietę namówić żeby się wynosiła!..

Ruszył ramionami.

— To tam pańska sprawa,—odezwał się pisarz, moja rzecz była przynieść panu wiadomość, że m zrobił com obiecał.

— Daleko nawet skuteczniej niż ja się spodziewałem,—zamruczał Zarzecki.—Kuty jesteś! o! kuty!

Pochlebilo to Więckowskiemu. Wyciągnął kołnierzyki i wziął się w bok. Zarzecki stał jak wbity w ziemię, z głową spuszczoną.

— Ja tam za moje ohodzenie około tej sprawy nie pretenduję nic,—począł zoiicha pisarz,—bo wiem że pan Zarzecki sam zmiarkuje iż wypada posmarować... Chę! chę!—no—oto mniejsza. Ale ja sambym takiego interesu nie zrobił bez panny Barbary, a panna Barbara musi co dostać...

Zarzecki ani się odzywał.

— My to tak z nią ułożyli, że panu się szkody nie zrobi, bo to z pańskiej kieszeni nie popłynie. Będzie wilk syty i koza cała... Pan weźmie swoje tysiąc rubli a skwituje z tysiąca dwóchset... Hrabiów przez to djabli nie wezmą!

Spuszczona głowa Zarzeckiego powoli się zaczęła podnosić, oczy wlepił w Więckowskiego, usta mu się otworzyły i śmiać się począł.

Nie mówił ani słowa tylko śmiał się coraz mocniej półgłosem, bo był nawykł cicho się sprawać dla chorej żony. Wstrzymywał więc wybuch serdeczny, ale cała twarz mu drgała. Zbliżył się do Więckowskiego i poklepał go po ramieniu.

— Jak Boga kocham, z was młodzieniec pełen nadziei! Jak to ślicznie ukombinowano! mnie ubogiego szarpaną, państwo okpió, i—ani znaku. No doskonale.

Śmiał się aż mu łzy ciekły.

— Ależ, do stu paraluszów, zawołał nagle, czyż my ślicie że ja podpiszę tysiąc dwieście, biorąc tysiąc, i z wami na wspólną łgając będę duszę gubił..

— A cóż to panu szkodzi?—nawnie przerwał Więckowski.

— Mnie to nic nie szkodzi, ale ja do szelmostwa nigdy nie pomagałem nikomu i choćbym z głodu marł, nie spaskudzę się na starość. Ruszaj z Bogiem.

— Ale, panie Zarzecki.

— Ruszaj z Bogiem!—zagrzmiał stary dobitniej wskazując na drzwi.

Więckowski stał jeszcze, choć mocno nastraszoney.

— Ruszaj z Bogiem, — krzyknął jeszcze mocniej Zarzecki, już obie ręce wyciągając do drzwi.

Nie było na to ratunku, pisarz choć chciał jakoś rzecz tę połatać, stracił głowę, zląkł się i począł mrużąc iść ku drzwiom. Stanąwszy w progu odwrócił się tylko raz jeszcze i burknął.

— Otóż to tak, kiedy kto komu chce dobrze zrobić
To taka wdzięczność!

Zarzecki śmiał się znowu, ale śmiechem tak gorzkim, że już go nie miał ochoty zaczepiać pisarz, i nałożywszy czapkę na uszy, usunął się z dworku jak pijany. Nie wiedział co robić dalej, nie miał jednak ochoty na tem poprzestać, ani się przyznać przed panną Drobisz, że tak mu się parlamentarstwo nie powiodło.

— A bodaj przepadł razem z tą swoją uczciwością swoją!—mówił po drodze—bodaj marnie zginął! Wlazłem przez niego w kaszę, i nie wiedzieć jak z niej wyjść, ale na to rozum panny. To nie moja rzecz...

Tego jednakże dnia nie powrócił do protektorki, a następnego tak był zajęty, że się do wieczora nie pokazał. Oczekiwano nań z niecierpliwością napróżno, aż nareszcie kuchnię po niego panna posłała. Musiał iść jak winowajca na stracenie.

Od progu wpadła na niego gniewnie panna Drobisz.

— Cóż to jest? gdzie acań głowę podział? żeby nie przyjsć zameldować?

— A cóżem meldować miał, kiedy nie ma skutku? — zamruczał pisarz.

— Jak? co? gadajże!

— Stary jak się napije, plecie sam nie wie co, farbując rzecz,—rzekł Więckowski,—chciał naprzód tysiąc, a teraz mu i tysiąc dwieście mało.

Panna aż poskoczyła.

— Bo z wacana nigdy nic nie będzie, nie umiesz z nim-gadać! Ludzie co z głodu mrą, żeby takich pieniędzy nie wzięli. Tfu!

Odwróciła się w sposób ocale niegrzeczny od strapionego Więckowskiego i zamilkła. Otrzymał jeszcze cierpliwie słuchając długą naukę, burę,—wylajany został, i, przyrzekłszy że będzie się starał naprawić co popsuł, poszedł precz z rozpaczą w sercu. Pierwszy to raz w życiu z tej wielkiej desperacyi, jakiej doznał, Więckowski, który wódki nigdy nie pił wieczorem, stuknął jej pół szklanki.

Po wódce zrobiło mu się jakoś lepiej i zakończył akksyomatem.

— Nie jedna panna Barbara na świecie! Mniejsza z tem, nie ma tam za czem przepadać!

Następnych dni Więckowski gorliwie się przykładał do gospodarstwa i w domu go nie było. Jedną noc nawet objeżdżał kopy na polu i choć po niego posyłano, nie stawiał się.

Tymczasem panna Drobisz oko miała zwrócone na chałupę.

Coś jej mówiło, że hołota nie mogłaby tysiąca rubli tak lekceważyć, gdyby nie miała innych jakichś widoków. Podejrzywała hrabiego Zamińskiego że ten mógł przyjść w pomoc, szło o dotarcie jak tam rzeczy stały.

Na to był jeden sposób już zresztą wypróbowany. Niejaka Łukaszowa, uboga komornica, przez litość dla Zarzeckich, czasem im posługiwać chodziła.

Łukaszowa napiwszy się wygadała co wiedziała i co się jej zamarzyło.

Panna Barbara pod pozorem małych posług niekiedy ją powoływała do siebie i wyciągała z niej co chciała. Zarzeczcy się przed nią nie strzegli i nie taili z niczem. Wła-

śnie w tych dniach, gdy i Zygmus przywiózł pieniędzy i Lubliner ich pożyczył, Łukową wzięła Lucia do pomocy, aby cokolwiek wypocząć.

Lecz choćby była nie u Zarzeckich a bodaj w kościele, na zawołanie do dworu musiała lecieć, aby jej nie przesładowano. Przez wójta nakazała panna Drobisz aby Łukowa była koniecznie.

Stara przybiegła do dnia.

— Co to ja ciebie tak dawno nie widzę,—poczęła panna,—czy już zupełnie na służbę przystała do tej hołoty... Co tobie po niej!

Od kieliszka wódki poczęła panna Barbara i badała starą.

Śpiewała więc, podochociwszy się, komornica, że Zarzecki do miasta chodził do Lublinera, że dostał pieniędzy, że pannie trafiało się miejsce u żyda (co nadzwyczaj uśmieszyło pannę Drobisz), naostatek że syn Zarzeckiego przyjeżdżał i pono pieniądze dał, bo gdzieś niedaleko ma kondycję.

Wszystko się w ten sposób wyjaśniało. O syna poczęła panna rozpytywać mocno, ale Łukowa nie wiedziała więcej nad to, że kędyś niedaleko służył, i że chłopiec był piękny jak malowany.

— Proszę paniusi,—mówiła Łukowa,—bodajem tak do jutra nie dożyła jeżeli kłamię, ale ten ekonomski syn tak wygląda, jak panicz. Śliczności chłopiec, i het, kole niego tak porządnie co się zowie, że i przy zegarku i w kapeluszu, i tak się patrzy na ludzi, jakby panował! Tak mi Boże dopomóż!

Śmiała się z Łukowej panna, ale ciekawość jej była zaostrzoną. Wszystko o czem się dowiadywała, gniewało ją mocno.

Żeby to było co pocziwego,—mówiła w duchu, nigdyby się z biedy nie wygrzebało, ale łajdactwo wybrnie zawsze. Córnia się do hrabiego wyszczerzy, synalek kto go wie jakim się zabawia rzemiosłem. Już kiedy tak paraduje, dając rodzicom zgłodu mrzeć, to lala być musi dobra...

Odebrała przykazanie Łukowa, wraz z drugim kieliszkiem, ażeby się wywiedziała, gdzie ten panicz przesiadywał i co robił i t. p.

Około biednej chałupy plątały się tak przeróżne sieci dokoła.

Pan hrabia Zamiński odjechał też ztąd z postanowieniem pomyślenia o losie Zarzeckich... Rozmaite plany snuły mu się po głowie. Zabrać ich do siebie na wieś—ani mógł, ani chciał. Było to dlań niepodobieństwem. Czuł też że nazbyt porywocze i natarczywe zaloty do panny na nic się nie zdały. W tem położeniu w jakim była rodzina, osamotniona artystka potrzebowała pociechy, towarzystwa, musiała być wdzięczną za pomoc—bezinteresowną. Spodziewał się ją pozyskać nie gwałtownie nastając, ale powoli idąc dla zjednania jej serca. Rachował na fantazję artystki, na młodość, niedoświadczenie, a potroszę na wyższość swoją. Słowem chciał zawiązać stosunki, nie wywołując skandalu.

Od miasteczka do niego nie było daleko, osadzić Zarzeckich w niem, posyłać co potrzebowali do życia, mogło nie bić zbyt w oczy. Rozmaite interesa często go powoływały do mieściny.

Wracając z Żabiego zбочzył umyślnie, aby się tu rozpatrzeć.

Faktor przystawił się natychmiast.

Rozmowa zaczęła się od zboża, jego ceny, od wypadków miejscowych, od baraniach skórek nawet. Hrabia spytał od niechcienia czyby dla ubogiej rodziny pewnego oficjalisty, nie można znaleźć dworku do najęcia.

Żydek spojrzął mu tylko w oczy, pan Ludwik się zarumienił, i faktor już wiedział że dworek powinien gdzieś stać na ustroniu. Zapewniał że o dworek podobny z ogródkiem będzie dla jasnie pana łatwo, i obiecał się tem zająć.

Jakoż trzeciego dnia przybył na wieś do hrabiego, mając aż trzy domki do wyboru. Zawahał się dobroczynca ubogiej rodziny i postanowił napisać do panny Anieli, dając jej wiedzieć o tem. List stylizował pół dnia, czując i jego ważność i drażliwość tej do której go posyłał. Chciał by był na pozór chłodny, a dawał się dorozumiewać głębokiego, poskramianego uczucia. Dwa czy trzy napisał nim ostateczną redakcyą był zaspokojony. Niełatwo go też przesłać było, tak aby się w cudze ręce nie dostał. Ale do posyłek miał zręcznego chłopaka, który wietrzył każdą sprawę i doskonale się sprawiał. Jemu więc przykazanem zostało—do Żabiego jechać, w karczmie konie postawić i pójść do dworku pod ogrodem, ale nie dobijać się do niego, nie pytać, chodzić tak sobie, czekać aż póki by panienka nie wyszła i jej samej do rąk pismo oddać.

Chłopak przewybornie pojął swe posłannictwo. a dostawszy dwa złote i obietnicę czegoś, jak się dobrze sprawi, kopnął się siarczyście go Żabiego.

Z bijącym sercem czekał pan Ludwik odpowiedzi Trzeciego dnia dopiero wrócił chłopiec.

Panna list odebrała, kazała panu pięknie bardzo podziękować i powiedzieć że już nic nietrzeba.

Co do słowa tak się chłopiec tłumaczył, dodając że o odpowiedź i prosił i nalegał i kłaniał się i uparcie na nią czekał, ale panna mu po kilka razy powtórzyła:

— Że bo taki innej odpowiedzi nie będzie, choćby i rok siedział.

Zbyty niczem hrabia jeszcze się mocniej uparł dotrzeć do panny i nie dać się tak odprawić.

Rzecz szczególna, nigdy mu się to w życiu nie trafiło ażeby ktoś go tak zajmował, tak go nęcił i pociągał jak ta — artystka. Próżno sobie tłumaczył że to było dziecinem, że ona tego nie była warta, że w świecie arystokratycznym mógł znaleźć coś daleko ponętniejszego (nawet z muzyką!)—fantazyja trzepała skrzydełkami i nie dawała się precz odpędzić.

Nim pani Idalia na swój obiad zaprosiła do Żabiego, państwo du Royer przysłali z zaproszeniem do Borku... perfumowanym liścikiem odpowiedziała na to pani Man-
czyńska że właśnie myśl miała też samą, i że zamawia sobie jej urzeczywistnienie.

Na oznaczony dzień pani Idalia, choć byó zachwycająco piękną, długą konferencyę miała ze swą faworytą nad wyborem sukni, ubrania i stroju na głowie. Trzeba było bowiem pogodzić wymagania godziny obiadowej, wizyty wiejskiej, byó ubraną do twarzy, bez zbytnej pretensyi, oryginalnie i pozować na bóstwo. Piękna pani chciała ukarać zuchwałego człowieka, który jej hołdu śmiał odmówić. Basia znająca doskonale naturę, kaprysy, myśli tajemne swej anielskiej pani, odgadła łatwo że tam byó musiał jakiś kuzyn lub młodzieniec.

Nie śmiała tylko badać, bo wiedziała jak pani nie lubiła być odgadniętą. Począwszy od sukni czarnej, w której pani Idalia wydawała się niezmiernie dystygowaną, ale zarazem może zbyt poważną, aż do leciuchnej blado-lila i koloru morskiej fali z białymi koronkami, rozumowano nad wszystkimi, próbowano nawet kilku, w końcu zmęczona hrabina rozplakała się z niecierpliwości i zezwoliła na *ver de mer*. Na główkę miała włożyć małe stroiki z roślin wodnych, który przypadał do sukni. Była w tem jak zawsze ładną lalczką, Ondyną do obrazka, ale jej brakło, jak zawsze, duszy coby promykiem swym rozświeciła blade widmo. Pan Onufry przypuszczony do oglądania toalety, znalazł swą panią zachwycającą, całował jej rączki, i trochę humor swemi pochlebstwy poprawił.

Basia przysięgała że anielskiej pani nigdy tak cudownie piękną nie widziała.

— Szkoda,—dodał mąż, że u Du Royerów to wszystko stracone prawie, bo oprócz starego gospodarza i tego kuzynka pewno nie będzie nikogo, a ty godną jesteś aby tłumy przed tobą klękały.

Najdrobniejsze akcesorya stroju z równą troskliwością jak ubiorek na głowę były dobrane, pani już siedziała w powozie, gdy jeszcze posłała do Basi po inną parę rękawiczek, gdyż ta którą wzięła niedosyć harmonizowała z suknią.

Przez całą drogę pani Idalia była miłożącą, bo się niezmiernie lękała aby suknia się nie pomięła; pan Onufry musiał się łzieć boczkim i cygara nie palił, ażeby dymek nie uczepił się gdzie jakiej falbanki.

Naostatek powóz stanął szczęśliwie u ganku, na którym oczekiwał już stary Du Royer, oba jego synowie, domniemany kuzyn i wcale niespodziewany hrabia Zamiński.

Do tego pani Idalia miała żal zawsze za jego wycieczkę podpatrzoną do chałupy.

Hrabia znalazł się tu przypadkiem, dowiedziawszy o przybyciu państwa Du Royer. Powiększyło się towarzystwo i ożywiło zarazem, a piękna Ondyna mogła, niewyjmując starszego syna domu, dorosłego już młodzieńca, próbować siły swych wejrzeń na trzech ofiarach: hrabi, kuzynie i Bolku Du Royer. Nie ochodziło jej jednak tego dnia tak bardzo o żadnego z nich prócz zuchwalca, owego pana Zygmunta, bo ten przykładnie ukaranym być musiał. Wsiadając też z powozu najpierwej strzeliła na niego oczyma i—strzał ohybił.

W salonie towarzystwo się ugrupowało, tak, że w głównem kółku oprócz dwóch pań pozostał tylko hrabia Zamiński.

Dnia tego razem z suknią koloru morza, pani Idalia humor jak morze zmienny przywdziała, chociaż byó wielką panią, znudzoną, *imcomprise*, rozczarowaną, jedną z heroin ówczesnych romansów, o ile taka heroina w Borku o tej porze mieścić się mogła.

Ów pan Zygmunt dla którego tyle cierpiała, dnia tego ustąpił zupełnie miejsca gościowi i, jak na złość, trzymał się ciągle z Bolkiem, z młodszym jego bratem, w oddaleniu i na uboczu. Nie wydawał się nawet teraz kuzynem, i pani Idalia lękała się już czy się nie omyliła, czy nie wzięła guwernera za—człowieka. Jednakże był tak poufale z Bolkiem, a w salonie tak swobodnym, że po pilniejszym rozpatrzeniu się został znowu awansowany na kuzyna. Pani Idalia mówiła w sobie w duszy, że choćby zresztą był i prostym nauczycielem, nie miał prawa opierać się urokowi jej wdzięków.

Rodzaj tej zalotności niewinnej na który chorowała pani Manczyńska, wymagał uwielbienia od całego świata. Wdzięczyła się nawet do Więckowskiego, gdy stała w gan-ku a pisarz przechodził zdala, było to w jej naturze.

Nim dano do stołu, pokilkakroć przesuwały się osoby zapełniające salon w różnych kierunkach, mogła więc pani Idalia parę razy spojrzeć na pana Zygmunta i we wzrok ten wlała całą siłę jaką miała w duszy.

Za drugim wejściem dostrzegła widoczny skutek. Młodzieniec znięszczał się, oczy jego pobiegły z zapytaniem i otrzymały niezrozumiałą, ale niepokojącą odpowiedź, widać po nim było że naostatek pocisk utkwiał.

Pani Idalia uważała że bardzo zręcznie, nie dając tego poznać po sobie, stanąwszy za hrabią Zamińskim, potem za Bolkiem, śledził ją niespokojny, jakby się chciał przekonać dowodniej że istotnie pytanie było zwrócone do niego i miało to znaczenie, jakie mu przypisywał. Ucieszona tem piękna pani odpowiedziała tak rozpaczliwie wyrazistym wzrokiem, iż—jedynie pierwszy szwank i potrzeba odwetu mogły go tłumaczyć.

Pan Zygmunt stanął jak wkuty, pobladł, i nierychło odzyskał ruchów swobodę.

Czytelnik w tej cale niezagadkowej postaci poznał oddawna młodego Zarzeckiego, którego wypadek naraził na ten zabójczy ogień oczów niewinnie zalotnego stworzenia.

Pan Zygmunt był, mimo że się w salonie obracał swobodnie i przyzwoicie, co było mu od natury danem,—całkiem obojętym życiu salonowemu i jego igraszkom; młodość spędziwszy na ciężkiej pracy, w niedostatku, wybiwszy się o własnej sile trochę ku górze, życia serca, marzeń i fantazji młodzieńczych wcale nie kosztował, kobieta jako ide-

ał nie istniała dlań; jeszcze „dass ewigweibliche“ nie objawiło mu się. Uśmiechały mu się nieraz różne kopciuszki o które się ocierał, lecz nie czyniły żadnego wrażenia. Zygmunt, obdarzony energią wielką, pochłonięty był myślą jedną, zdobycia stanowiska dla siebie i ratowania rodziny.

Nie miał czasu na żadne miłostki, i gardził niemi jako rzeczą płochą... Wzrok zalotnej pani Idalii był dlań jakby iskrą, która pada na wysuszone drzewo, gotowe do zapłonienia żywym ogniem.

Aby sobie wytłumaczyć wrażenie jakie uczynił na nim, trzeba w rachubę wciągnąć młodość, życie pozbawione poezji, piękność kusicielki, blask jaki jej nadawało to co ją otaczało,—pragnienia duszy i krwi. Więc, choć młodzieńcem był poważnym, rozsądnym i statecznym, pan Zygmunt, jeżeli nie więcej, poczuł się zaniepokojonym.

Znał w niej nieprzyjaciółkę rodziców swoich, a nie przypuszczał ażeby ona nie wiedziała kto był. Wzrok tak natarczywie wyzywający przez to jeszcze na bierał nadzwyczajnego znaczenia. Jakkolwiekby, nawet najprzyzwoitszy i najpoważniejszy młodzieniec dwudziestokilkoletni nie gniewa się, gdy nań bardzo piękna kobieta czule spogląda. Pan Zygmunt był poruszony, tak, że się sam siebie zawstydził.

Z drugiej strony w duszy kobiety tej, która nigdy nikogo nie kochała, oprócz samej siebie, ten młody, piękny mężczyzna, na którego czole świeciła myśl a z twarzy biła energia męzka—rozbudzał sympatyę dla niej samej niezrozumiałą. W trzydziestu kilku latach po raz pierwszy spotkać się z istotą, do której pociągał niepojęty jakiś i niewytłumaczony urok—jest rzeczą zapewne rzadką, lecz nie bezprzykładną.

Pani Idalia była tem upokorzona, lecz czuła że—był to ten ktoś, kogo dotąd na świecie nie spotkała, a który jej był potrzebny.

Mimowolnie zrobiła małe porównanie pomiędzy nim a swoim mężem, i—nie licząc w to różnicy wieku, dopatrzyła się w panu Onufrym pięknego safandudy, hrabia Zamiński wydał się jej przy nim jakby zblakły, przeprany i nie dobrze ufarbowany.

Bolek Du Royer, chłopak ładniuchny, świeży, wesołej twarzyczki, przy nim coś miał dziecinnego. Słowem pan Zygmunt, nawet w przypuszczeniu najokropniejszym, że był guwernerem—nie tracił w jej oczach.

Zarumieniła się sama gdy jej przyszło na myśl, że takiego guwenera życzyłaby dla syna... Było to już iść trochę zadaleko.

Przed obiadem bawiono się w salonie, panie potem przechadzały się trochę same, a gdy dano do stołu, pani Idalia ciekawie spojrzała na miejsce jakie miał zająć ów Zygmunt u obiadu. Mogło to ją o położeniu jego w tym domu objaśnić. Stało się, że posadzono go między dwoma synami—i z tego się nic nie dawało wyciągnąć. Zwróconą mając uwagę na wszystko, pani Idalia słysząc że nie nazywano tego pana nigdy inaczej jak panem Zygmuntem, coraz bardziej zaczęła podejrywać że mógł być guwernerem.

Ale cóż? w początku ją to oburzało i dręczyło, powoli się oswajała z tą ewentualnością i przypuściwszy ją, niemal była nią zadowolnioną.

Nieszczęśliwa istota, która dotąd obchodziła się ozią jaką jej składano, po raz pierwszy uczuła że gotowa by się kochać sama. Nie przesadzimy mówiąc, że ją to takim napełniło strachem, jak gdyby miała dostać ospy. Przeczucie

możliwości już było niestety — uczuciem faktu spełnionego.

Pan Zygmunt z niezmierną, ostrożnością, raz zakosztowawszy słodyczy wejrzenia, które nietylko było owocem zakazanym, ale istotnie rajskiem jabłkiem—nie mógł się oprzeć sięganiu po tę truciznę. Ciągłe sobie mówił że to była ta kobieta, która jego rodziców przezwała Hołotą i była przyczyną ich cierpien — nic to nie pomagało. Ten kat tak był ponętny, że o wszystkim można było zapomnieć, o czy w niego wlepiwszy.

Z obu stron zapewne ten początek sympatyj musiał być czysto zmyślowym,—lecz w tem co się na świecie w ogóle nazywa miłością, zmysły, niestety, grają rolę taką, że nigdy rozpoznać niepodobna gdzie one są a gdzie ich nie ma. Najstraszniejsze też namiętności są właśnie te, których poezya królewskim swym płaszczem okrywa czysto ziemską naturę.

Pomiędzy, niespokojny, nierad z siebie pan Zygmunt, chociaż mógł z ogólnej rozmowy przy obiedzie korzystać, aby się zbliżyć do pani Idalii, nietylko się o to nie starał, ale postanowił jej unikać. Miał to sobie za obowiązek. Ona zaś oczyma dokonała tego co rozpoczęły oczy—i wesołość jej powracała, bo przy deserze była pewną, że zdobyła człowieka.

Siedzący naprzeciw pana Zygmunta hrabia Zamiński, który nie wiedział że to jest brat artystki, ale o obowiązkach jego w tym domu był uwiadomiony, z przebiegłością starego światowca, wśród rozmowy robił pewne postrzeżenia, i połapawszy wzroki latające ciągle,—coś sobie pomyślał. Znał doskonale piękną Idalię i wiedział że była najcnotliwszą z kobiet zalotnych, jakie w życiu spotykał,—ba-

wiło go tylko, że nawet takiemu panu Zygmuntowi życia darować nie chciała.

— Biedny chłopak,—rzekł w duchu,— jeżeli nie zna naszych pań, gotów to wziąć na seryo i oszałeć. Toby było pocieszne.

Wstano od stołu. W celu zabawienia się naiwnym, jak mu się zdawało, młodzieńcem, zaraz po obiedzie hrabia zbliżył się do Bolka i prosił aby go z panem Zygmuntem zapoznać.

— Mój przyjaciel, pan Zygmunt Zarzecki... Pan hrabia....

Nazwisko uderzyło hrabiego i zmięszął się trochę.

— Z jakich stron pańska rodzina?—spytał hrabia.

— Moja!—odparł Zygmunt uśmiechając się—z bardzo blizkich, jestem synem dawnego rządu nieboszczki podkomorzynej.

Jak ściana zbliśdł hrabia, lecz natychmiast wróciła mu pewność siebie. Myśl przedziuteńko skombinowała jakie ztąd będzie mógł wyciągnąć korzyści. Nie znając Zarzeckiego, sądził że łatwo go ujmie sobie, przez niego zaś siostrę. W każdym razie potrzeba się było poznać bliżej, popufalej, i co przypadek nastęczył, wyzyskać.

Panie wychodziły do ogrodu, stary Du Royer, który bez cygara długo się obejść nie mógł, mężczyzn zapraszał do siebie. Zygmunt, który dawniej palić nie mógł, później nie chciał się już przyzwyczajać, nie palił więc i chciał pozostać z małym swym wychowawcem, gdy gospodarz, który go lubił, synka odprawił z kobietami, a jego zaprosił z sobą.

— Chodź z nami, jeśli nie na cygaro, to na gawędkę.

Razem więc poszli do pokoju na ogród wychodzącego, otoczonego sofami, i tu się rozsiadli wygodnie.

Hrabia miał czas rozmyśleć się i osnuć plan przyszłego postępowania z panem Zygmuntem. Postanowił go ująć sobie nieodzownie. Na zrzętności mu nie zbywało. Przytomność starego i młodego Du Royera, nie dozwalała się rozmówić poufnie, ale znalazł zrzętność odprowadzenia pana Zygmunta do okna i szepnięcia mu.

— Bardzo rad jestem że się spotykamy. W interesie jego rodziny, gdyż siostrę pańską pannę Anielę oddawna mam przyjemność znać, potrzebuję się z nim rozmówić na osobności. Jeśli to być może, przyjedź pan do mnie.

Zygmunt popatrzał trochę zdziwiony, lecz zdawało mu się to pochodzić ze zbyt dobrego serca, aby mógł odtrącić; skłonił się i odpowiedział że—przyjedzie.

Rozmowa się stała ogólną.

Hrabia ze zrzętnością wielką, sam jak najmniej mówiąc, pobudzał pana Zygmunta do rozmowy, słuchał pilnie. Chciał go poznać, aby wiedzieć jak ma z nim postępować.

Z góry wyobrażał sobie że młodzieniec, mimo przyzwoitej wcale powierzchowności, musiał być—naiwnym. Utwierdzało go w tem i złapanie się na wejrzenia strzeliście pani Idalii, których hrabia znał wartość. Zdziwił się mocno przekonywając, że Zygmunt był energiczny, wykształcony i choć nie miał doświadczenia świata, nie zbywało mu na męztwie do walczenia z nim, gdyby tego była potrzeba.

Bliższa znajomość z panem Zygmuntem wcale go nie ucieszyła—przekonał się że młodzieniec ten był już żywie seryo pojmującym męczyzną. Dobrem tylko było to, że grunt poznał.

Gdy w pokoju pana Du Royera rozprawiano przy cygarach, panie wyszły na balkon od ogrodu, i Idalia postanowiła wprost jakoś zapytać gospodyni o młodzieńca—*pour en avoir le coeur net*.

Szło o to, ażeby uczynić to jakoś nie obudzając żadnej złej myśli.

— Państwo jesteście we wszystkim szczęśliwi,—odezwała się do przyjaciółki. Zdaje mi się że ten pan Zygmunt? nieprawdaz? jest guwernerem młodszego syna ich?

Pani Du Royer potwierdziła to skinieniem.

— Bardzo przyzwoicie wygląda, a mój niemiec!—nie dokończyła.

W istocie myśmy z Zarzeckiego tego bardzo kontenci, odezwała się gospodyni. Bolek go nam nastreczył, bo nauki razem kończyli. Z wielkim taktiem chłopak i bardzo otwartą głową.

Pani Idalia pobladła uderzona znajomem nazwiskiem.

— Jak się zowie? Zarzecki?

— Myślałam że wiesz nazwisko,—dodała spokojnie gospodyni,—boć to syn tego starego co był u waszej podkomorzynej, czy rządcą, czy niewiem tam czem...

Mówiąc to pani Du Royer więcej patrzyła na ładną suknę swej sąsiadki niż na nią i nie dostrzegła, że w mgnieniu oka twarzyczka jej straszliwie się zmieniła. Sama jej właścicielka musiała to uozuó, i postarała się przyjść do siebie, nim wzrok gospodyni ku niej się skierował. Onie miała tylko.

Nie wiedząc czem się ratować, napiła się prędko kawy, zaczęła wachlować żywo, i natychmiast unosió nad nadzwyczajną pięknoscią rozkwitłych granatów na balkonie stojących, chociaż zwrot ten nie był zręczny, i mógł o-

budzić pewne podejrzenia, spokojna pani Du Royer, śmiejąc się poczęła przypominać, jak to też same granaty, tu potrzebujące takiego pielęgnowania, już w Sestri ślicznie w gruncie wykwitają, a około Genui przy płotach je widzieć można.

I tak rozmowa do Włoch zawędrowała.

Co się w duszy pani Idalii działo, trudno, niesposób odmalować.

Wszystkie myśli naprzód jakby wichrem jakimś poruszone zbiły się w chmurę ciemną, wirowały zakrywając światło, potem je zaczęły przebiegać błyskawice i nierychło spokojnym całunem dżdżystym zasnuło się niebo.

Pragnęła jak najprędzej być sama z sobą, wstydziała się siebie, uczuć swych, płochości swej — uciechy była chciała od samej siebie. Chociaż przyzwyczajona do udawania żwawo prowadziła rozmowę, sama czuła że popełniała w niej straszliwe omyłki, że była roztargniona, a gdy po długiej męczarni, mąż przyszedł nareszcie zabrać ją do domu, odetchnęła dopiero.

Przy wyjściu stali mężczyźni wszyscy, był i pan Zygmunt, pani Idalia miała najmocniejsze postanowienie wyjść nie obejrzawszy się nawet na niego, serce jej biło w piersi aż do mdłości; siła której się oprzeć nie mogła, poprowadziła jej oczy na pana Zygmunta i nie gniewem ale wyrazem tęsknoty i smutku przejęła wejrzenie.

Spojrzeć tak na tego plebejusza, tę hołotę obrzydłą, było w jej własnem przekonaniu zbrodnią — popełniła ją bezwiednie.

Chciało się jej płakać.

Siedzieli już w powozie. Pan Onufry dotąd ani o nazwisku ani o pochodzeniu Zarzeckiego nie wiedział. Spojrzawszy na żonę, która padła na poduszki jakby złamana,

domyślił się że albo jest chora lub coś się stać musiało czego nie pojmował.

— Duszko droga, czy ci obiad nie zaszkodził,—zapytał.

Idalia zerwała się tylko i spojrzała mu w oczy.

— Nie wiesz nic?—zawołała.

— Ja? a cóż—cóż mam wiedzieć?

— Ten Zygmunt?

— Zygmunt?—zdziwiony podchwycił pan Onufry.

— Guwerner ich! — z wielką zapalozywością dodała pani Idalia,—ale to jest syn starego Zarzeckiego.

Pan Onufry z kolei—osłupiał. Usta mu się otwarły szeroko, patrzył na żonę długo, westchnął.

— Syn Zarzeckiego! nie do wiary!

— Prawda? Proszę cię, ludzie bez żadnych środków, umierający z głodu, tymczasem, jak ci się to podoba, córkę wprowadzili na artystkę, a z syna zrobili...

— Ale bo, wiesz, *ma foi*,—rzekł Onufry,—ma minę tak przyzwoitą... To przechodzi pojęcie.

— Tak! to pojęcie przechodzi! potwierdziła pani—*cela depasse tout*.

— I my jednego pięknego dnia, dodał Onufry, jesteśmy wystawieni na to, że z nim bawimy w jednym salonie, siedziemy u jednego stołu i kłaniamy mu się.

Ha! przyznam się, że po starym Du Royer nigdybym się był nie spodziewał, żeby mi śmiał podobnego figla wyrządzić!

A! a!—powtarzał pan Onufry rozgrzewając się.—*C'est charmant!*

Twarz mu pałać zaczynała, cóż gdyby był w położeniu pięknej Idalii, która—czuła, że ten syn Hołoty za serce ją chwycił..

Upokorzenie pani było innej natury niż pana Onufrego; ten gniewał się prosto i burzył. Nie mógł zrozumieć jakim sposobem ów pijak mógł mieć takiego syna, chwila mi wątpił czy się żonie nazwisko nie przesłyszało.

— Proszę cię,—odparła urażona pani,—przecież Du Royer mi z najzimniejszą w świecie krwią powiedziała, że jest synem starego rządzoy podkomorzynej.

Pan Onufry nie posiadał się z gniewu, który nim owładnął, zapalał i gasił cygaro, rzucał się na siedzeniu, kręcił, zrywał, półsłowami odzywał do zupełnie już milczącej żony, która z rękami założonemi na piersiach, z oczyma wlepionemi w niebiosy, zdawała się im wyrzucać, że ją naraziły na coś tak niesłychanie, straszliwie, tragicznego razem i śmiesznego...

Z gorączką prawie dojechała pani Idalia do Zabiego i wprost poszła się rozebrać. Basia już była w gabinecie, spojrzała na swą panią i poskoczyła ku niej niespokojna:

— Paniusia niezdrował! Moja anielska pani! co pani jest! Czy pani droga nie zaszkoziła.

Idalia już leżała w krześle z głową na ręku podpartą.

Kłękła przed nią faworyta.

— Na miłość Bożą! co to pani? Wódki kolońskiej? soli?

Nim te leki przyniosła z toalety, Idalia już była otrzeźwiona. Westchnienie głębokie z piersi jej się wyrwało.

— Nic nie wiesz!—zawołała z rodzajem dziecinnego przestachu,—nic nie wiesz? Wystaw sobie—tych Zarzekich syn...

— Tej hołoty...—przerwała Basia.

— Guwernerem u Du Royerów!

Panna Drobisz uderzyła w grube ręce.

— A toż co? ożyż może być!

— Dopiero dziś dowiedzieliśmy się o tem! Gdyśmy po raz pierwszy tam byli, o Bożym świecie nie wiedząc, mówiliśmy z nim... Nadzwyczaj, niesłychanie przyzwoicie wygląda—powiadam ci! wzięliśmy go za kogoś z naszego towarzystwa.

Panna Drobisz nietylko gniew pani podzielała, ale nieskończenie więcej była oburzona na tego—hołotę, który śmiał zbliżyć się do anielskiej paniusi—i podnieść oczy na nią.

Nie wiedziała o niczem!

Uderzyło ją niesłychane zmięszanie Idalii i wrażenie jakiego doznała.

— Al proszę paniusi!—odezwała się.—Ja przysięgam że to jest podła szykana tych niegodziwych Du Royerów. To było napięte, obrachowane! To jest nikczemność. Ja-bym z niemi zerwała raz na zawsze!

Żeby śmieli przeciwko państwu protegować tych nikczemnych ludzi. Cóż pan na to?

— Oboje zostaliśmy oburzeni tą omyłką,—odezwała się Idalia znacznie mniej okazując gniewu niż sługa się spodziewała. Jednak ja Du Royerów nie obwiniam. Sama mi mówiła, że z jej synem razem nauki kończył i że on go do ich domu wprowadził.

— I jakże ten przybłąda wygląda? — spytała Basia.

— Mówiłambo ci już,—kwaśno odparła pani, wszyscyśmy się oszukali, tak ma przyzwoitą minę.

Powiadam ci, ja go sama wzięłam z początku za jakiegoś kuzyna domu.

— Panil.. — wykrzyknęła faworyta, — a! to coś okropnego!

Pod ciężarem tego wyznania schyliła głowę Basia i z wolna zaczęła panią rozbierać.

Pan Onufry, choć nie miał powiernika, bił się po swoim pokoju ohodząc z myślami nieprzyjemnymi. Przychodziły mu do głowy następstwa tego wośnięcia się do domu sąsiedzkiego syna ludzi, którzy tyle od niego ucierpieli. Naturalnie, oczernią nas, zozydzą. Skarżyć się będą! wszystka wina na nas spadnie. Miłe rzeczy! Ślizne rzeczy!

Nienawykły sam sobą kierować pobiegł pan Onufry do salonu szukać żony, ale tu długo na nią oczekiwać musiał, gdyż rozmowa z Basią dużo czasu zabrała.

Pani Idalia miała przytem czas rozmyśleć się nad dalszem postępowaniem z — Hołotą.

Gdy się ukazała w salonie i mąż niespokojny, unikając angielski i niemca, odprowadził ją na stronę, odzyskała była przytomność i krew zimną, przynajmniej pozornie.

— Mój aniele drogi, no cóż ty mówisz o tem? — począł pan Onufry. Zastanowiłaś się nad następstwami? Są to okoliczności mogące wpłynąć na nasze stosunki.

Ja, ja ci się już przyznam do wszystkiego.

Tu pocałował ją w rękę.

— Pragnąłem ci uczynić niespodziankę, chciałem odkupić dożywocie od Zarzeckiego, aby się ich ztąd pozbyć. Stary pijak oddaje mi to za tysiąc kilkaset rubli. Co tu robić! Gotowi i w tem widzieć krzywdę! wziąć na języki!

Du Royerowie mają pełno znajomości w stolicy,
wszędzie!

Załamał ręce.

Idalia milczała smutnie.

— Bardzo ci dziękuję za twoje dobre serce, ale ty-
siąc kilkaset rubli doprawdy lepiej użyć można. Niech tam
sobie siedzą jak siedzieli.

Pan Onufry się zdziwił.

— Ja nie wiem prawdziwie jak nam postąpić wypadnie,
— odezwała się pani Idalia, szarpiąc końce chusteczki. Pro-
wadziliśmy z nimi długą wojnę i nie zyskaliśmy na niej
nic... Któż wie? Jesliby oni się upokorzyli. — Któż
wie?

Posłuszny mąż głęboko się zamyślił.

— Zapewne,—rzekł,—ale to obrzydliwa rodzina, mam
wstręt do nich!. Nie mówmy o tem lepiej. Są twarde oza-
sem konieczności w życiu.

W milczeniu poszli na wieczerzę, mowy już o niczem
nie było,; pani się skarżyła na głowę, pan Onufry chodził
posępny, dwór cały wnosił że przejażdżka do Borku jakoś
się nie powiodła.

Następny dzień może był jeszcze trudniejszym do prze-
bycia, niż poprzedzający. Oboje im głębiej brnęli myślami
w stosunek do Hołoty, tem trudniej im było znaleźć wyj-
ście z tego labiryntu w jaki popchnęły ich losy.

Z pana Zygmunta godziło się domyślać siostry, panny
Anieli, o której wiadano że była bardzo muzykalną.
Hrabia ją chwalił, miała i ona swych zwolenników i wiel-
bicieli talentu. Wszystko się spikało na to, aby pań-
stwa Manczyńskich w oczach świata okryć hańbą, jako prze-
śladowców nieszczęśliwej rodziny.

Pani Idalia była prawie za tem ażeby złagodnieć i— jeśliby się zbliżyli, postarać o zatarcie przeszłości; pan Onufry, nie dzielając tego zdania, przyjmował je w pokorze ducha, aby się nie przeciwiał żonie. Był pewnym że do żadnego zbliżenia się nie przyjdzie.

Najdrapieżniej usposobioną i najzjadlejszą na Du Royerów i na Hołotę była panna Drobisz, ale postanowiła sobie na panią wpływać tak, ażeby wszelkie łagodniejsze usposobienie wykorzenić.

— Że nie dopuszczę do tego aby im folgowano, to nie dopuszczę, żeby mi przyszło nie wiem co zrobić! Państwo by się w oczach świata sami skompromitowali! Al nigdy, przenigdy!

W zbrzydłej chałupie ani się nie domyślano tego co się działo w pałacu, wstarego tylko pana Jakuba nowy duch wstąpił z przybyciem syna. Troska, przynajmniej o chleb powszedni, ustąpiła, chorej cokolwiek się polepszyło, on sam z nowym zapalem brał się do składania kółek swojego młyna. Najęto Łukową do posługi w domu i Lucia mogła specznie choć trochę, przydziać się, pomyśleć o sobie.

Codziennie spodziewano się Zygmunta, który choć zaraz nie mógł przybyć, po kilku dniach dobiegł wieczorem do Żabiego.

Lucia wybiegła przeciwko niemu, zupełnie przemieniona.

Choć na pięknej jej warzy trud i niedostatek zostały ślady, młode lice trochę rozkwitło znowu, a strój starszy nieco wrócił jej dawną postać. Nie była to już ta nieszczęśliwa istota, splakana i odarta, jaką Zygmunt z przerażeniem spotkał w progu dworku, przybywszy po raz pierwszy. Poszli razem z nią do łóżka chorej matki,

która długo syna przy sobie trzymała, napatrzeć się go nie mogąc, potem pochwycił go ojciec, naostatku Lucia zabrała na rozmowę której łaknęła.

Ani ojcu ani matce nie wspomniał Zygmunt o spotkaniu z Manczyńskimi, lecz gdy sam na sam zostali z siostrą, szepnął na jej ucho.

— Wiesz Luciu, twoi Manczyńscy dwa razy byli u Du Royerów... Widziałem ich oboje.

Lucia zarumieniła się gniewem.

— Jakto?—zawołała—i ty nie wyszedłeś natychmiast aby jednym nie oddychać powietrzem.

Zygmunt się rozśmiał.

— Moja najdroższa, awantury robić w domu, w którym mi tak dobrze, któremu tyle zawdzięczam, ani mogłem, ani chciałem.

Zmarszczyła się siostra.

— To kat naszych rodziców!

— Nie myślę ich uniewinniać,—rzekł Zygmunt,—ani się do nich zbliżać. Sama pani, którą po raz pierwszy w życiu miałem szczęście oglądać, jest — bardzo śliczną panią.

— I ty to możesz mówić!—zakrzyknęła siostra.

— Może być najgorszą,—odparł Zygmunt, ale że jest ładną, to nie ulega wątpliwości.

— Kobieta bez serca, próżna, rozpieszczona, dumna, która tylko o sobie myśli i siebie kocha jedną.

— Wszystko to być może,—dodał Zygmunt,—ale, mówię ci, jest bardzo ładną.

— A ty jesteś szkaradny!—odezwała się siostra odpychając go.—Jesteś więc i ty jak wszyscy w świecie mężczy-

zni, dla których urok ładnej twarzyozki osłania wszystkie szkarady serca i duszy.

Zygmunt pocałował ją w czoło.

— Kochana moja,—rzekł,—przypomnij sobieże grecy, widzą wszędzie piękność gdziekolwiek ona jest i cześć jej oddają.

— Nawet piękności pani Mańczyńskiej! ironicznie,—dodała Lucia.

— Gdybym mogła gniewałabym się na ciebie—ale że cię kocham, lituję się nad tobą.

A po namyśle dodała.

— Pięknie cię ta piękna pani musiała przyjąć.

— O!—odezwał się Zygmunt—jeżeli to była komedia to ci się przyznam że odegrana z takim artyzmem iż żadna Ristori się z nią mierzyć nie może! patrzała na mnie jak gdybym nie był Zarzeckim! prawdziwie!

— Obrzydła zalotnica! przerwała Lucia.—Nie mów mi o tem, słuchać nie chcę. Ja to rozumiem jednakże. Lęka ją się ciebie i Royerów, chcą cię rozbroić!

Zygmunt miał jeszcze na ustach że go hrabia Zamiński zaprosił, lecz wstrzymał się, nie chcąc o tem mówić siostrze, dopóki nie mógł być u niego.

— Popsuleś mi całą przyjemność jaką z sobą przyniosłeś,—zakończyła siostra. Dla mnie nad tę rodzinę co się bez litości nad biednym ojcem znęcała, nie ma na świecie wstrętliwszego nic. Nie jestem mściwą, lecz gdybym mogła, Zygmuncie pomściłabym na nich łzy nasze, byłabym okrutną.

— Kochana Luciu—ty jesteś artystką we wszystkim,

masz duszę płomienistą, a ja mężczyzna, muszę się rachować z zimną rzeczywistością.

— Nie zazdrościsz! — potrząsając głową dodała Anieła — ja innego rachunku nie znam nad ten który dyktuje serce!

— A w sercu, starając się w żart obrócić rozmowę niemiłą — a w sercu, — rzekł Zygmunt, dwa razy dwa...

— Bywa zero — lub sto! — skończyła siostra... — nigdy cztery!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



F
1669